ROK XIII NR 11 (572) LONDYN, LISTOPAD 1959 R. CENA 3/-

ŻYCIE

KATOLICKI MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

I ROK PONTYFIKATU JANA XXIII wycisnął piętno na Kościele: „Proboszcz świata" zapowiada sobór i zwołuje synod rzymski; podnosi sprawę jedności Kościoła; ustala równowagę między życiem wewnętrznym a aktywnością zewnętrzną; modernizuje metody duszpasterstwa; reformuje prawo kanoniczne; rozwija apostolstwo świeckich; rozszerza Kolegium kardynalskie i reorganizuje Kurię rzymską; dba o misje; pamięta o prześladowanych — pisze do kardynałów Mindszenty'ego i Stepinaca, do arcybiskupa Berana, do biskupa Kaczmarka; odwiedza chorych i więźniów, jeździ po swojej diecezji; chwyta ludzi za serca...

(„Dom Jego Świątobliwości": spowiednik — prałat Alfredo Cavagna; sekretarze prywatni — prał. Loris Capovilla i prał. Thomas Ryan; lekarz — dr Filippo Rocchi; służba domowa — franciszkanie z Bergamo.)

✱

INTENCJA PAPIESKA NA LISTOPAD: klęska komunizmu w jego dążeniu do światowego przewrotu.

✱

ZMIANY W KURII RZYMSKIEJ: sekretarzem Kongregacji św. Oficjum został kard. Alfredo Ottaviani w miejsce kard. Pizzardo; sekretarzem Kongregacji dla Kościoła Wschodniego został kard. Amleto Cicognani w miejsce kard. Tisserant.

✱

KOLEGIUM KARDYNALSKIE osiągnęło liczbę 79; zwiększyło się grono kardynałów kurialnych — 31, z czego 23 Włochów; w Kolegium będzie 31 włoskich kardynałów na 48 z innych narodów.

Nowi kardynalowie-desygnaci: Paolo MARELLA, arcybiskup, nuncjusz w Paryżu; Gustavo TESTA, arcybiskup, nuncjusz w Bernie; Alois Joseph MUENCH, arcybiskup, biskup Fargo, N. Dakota, nuncjusz w Bonn, Amerykanin; Albert Gregory MEYER, arcybiskup Chicago, Amerykanin; Arcadio LARRAONA, C. M. F., sekretarz Kongregacji Zakonów, Hiszpan; Francesco MORANO, sekretarz Najw. Trybunału Podpisu Apost.; William Theodore HEARD, dziekan św. Rzymskiej Roty, Szkot; Augustin BEA, T.J., konsultor św. Oficjum, Niemiec.

✱

SYNOD RZYMSKI zostanie otwarty 25 1. 1960, a **SOBÓR POWSZECHNY** — nie przed r. 1963. Kard. sekretarz stanu Tardini wyjaśnił, że Sobór zajmie się sprawami krzewienia Wiary, odnowienia chrześcijańskich obyczajów, unowocześnienia dyscypliny kościelnej zgodnie z potrzebą czasów; „demonstrancja prawdy, jedności i miłości" będzie „zaproszeniem do osiągnięcia jedności"; przedstawiciele wyznań od Kościoła oddzielonych będą „czule powitani" jako obserwatorzy, jeżeli przybyć zechcą.

✱

GORZEJ W KRAJU! Trwa walka z religią, szykany administracji w stosunku do władz kościelnych, usuwanie katechetów; inspektorów wprowadza się do seminariów; nacisk na społeczeństwo wzrasta, krępuje się wolność słowa, gnębi kryzys gospodarczy; nasila się odwrót od „października", wracają „przedpaździernikowi" aktywiści. — „Odprężenie nie stosuje się do Boga" pisał „Osservatore Romano", piętnując postawę Sowietów; w Polsce zamiast odprężenia grozi rosnące naprężenie...

✱

POŚWIĘCENIE PIERWSZEGO KOŚCIOŁA powojennej brytyjskiej Polonii **w Manchesterze** to etap o doniosłym znaczeniu dla polskiego uchodźstwa i dla kraju pobytu.

Prymas Polski pisał: „...Błogosławię wszystkim obecnym teraz w tej świątyni i wszystkim, którzy będą tu przychodzić... Wszystkich oddaję Chrystusowi Królowi i Matce Bożej Częstochowskiej, Królowej Polski."

Opiekun Uchodźstwa wyraził: „...głęboką wdzięczność i szczery podziw tak Przewielebnemu ks. kan. Basowi i czcigodnemu Komitetowi Kościelnemu jak też wszystkim przezacnym Rodakom za dokonanie tak wspaniałego dzieła, jakim jest wykupienie kościoła z rąk niekatolickich... Zgotowaliście wspólnym wysiłkiem i ogromną ofiarnością nowy przybytek dla Boskiego Zbawiciela... nowe miejsce kultu dla Niepokalanej Królowej świata i Polski..."

✱

„LA PIRA W MOSKWIE" — wyczerpujący reportaż Vittorio Citterich, który towarzyszył prof. Giorgio La Pira w podróży misyjnej do Rosji, ogłosiły „Informations Catholiques Internationales" z 1. 11. bież. roku.

SPIS TREŚCI

ZDOBYĆ PRENUMERATY!

Mija 8 miesięcy od ogłoszenia apelu do czytelników i przyjaciół ŻYCIA o zdobywanie prenumerat oraz o ofiary, aby uczynić pismo samowystarczalnym. **Przyszłość ŻYCIA w r. 1960 zależy od wyniku naszych wspólnych wysiłków.**

FUNDUSZ "ŻYCIA" zasiliły ofiary od przyjaciół starych i nowych, z bliska i z daleka, jak ta zacna zakonnica z St. Louis, USA, której nie możemy posłać podziękowania, bo adresu nie dała w serdecznym liście, przesyłając £ 1.15.6! Pomogły zakupy numerów dla wysyłki do Kraju, choć nie wszystkie obietnice zostały spełnione. Prenumerat przybyło, nie dosyć jednak, by stanąć na własnych nogach w r. 1960.

Dowody życzliwości, cenniejsze od pieniędzy, jak i serdeczne echa z Kraju, są zachętą, żeby pismo utrzymać, choćby w skromniejszej szacie. Ale musi być samowystarczalne!

Dziękując wszystkim dobroczyńcom i współpracownikom w akcji, zwracamy się do wszystkich prenumeratorów i odbiorców z **APELEM** przed powzięciem decyzji na rok nowy. Prosimy, aby **każdy PRZED 1 STYCZNIA 1960 R. ZDOBYŁ CHOĆ JEDNĄ PRENUMERATĘ PÓŁROCZNĄ** (18/-; 3.00 dol.; 1240 fr. fr.)! — Pozytywny wynik pozwoli trwać.

ZŁOŻYLI OFIARY NA FUNDUSZ „ŻYCIA"

(w porządku chronologicznym od 15. 11. 1959)

Ks. F. Kubieński (Afryka)	£ 1. 0.0
B. Kurowski (Szwecja)	1. 0.0
M. Kleczyński	18.0

Mija 15 lat od śmierci **METROPOLITY ANDRZEJA SZEPTYCKIEGO,** bazylianina, którego proces beatyfikacyjny został otwarty przed rokiem.

✱

KS. PROF. DR PAWEŁ SIWEK, T. J. obchodzi 30-lecie pracy profesorskiej: filozof, psycholog, badacz Arystotelesa i Spinozy, był profesorem w Krakowie, rzymskim „Gregorianum", nowojorskim Fordham. Wydał prace w wielu językach, na czele z „Psychologia Metaphysica".

✱

UWAGA! FUNDUSZ SKARBÓW WAWELSKICH, którego cele i zadania omawia **artykuł w tym numerze ŻYCIA na str. 19 pt. „O MONOGRAFIĘ SKARBÓW WAWELSKICH",** został przejęty przez **POLSKI INSTYTUT NAUKOWY W AMERYCE.**

W ramach prac instytutu dla upamiętnienia Tysiąclecia, zadaniem zebrania środków i przygotowania monografii zbiorów narodowych, znajdujących się w Kanadzie i częściowo już zwróconych do Kraju, zajmować się będzie Aleksander Janta, który ustąpił ze stanowiska dyrektora Fundacji Paderewskiego.

Ofiary kierować należy na adres: Polish Institute of Arts and Sciences (Polish Royal Treasures Chest), 145 East 53rd Street, New York 22, N.Y., USA.

O. JÓZEF JARZĘBOWSKI, M. I. C.

NORWID I ZMARTWYCHWSTAŃCY (2)

Do Nowego Jorku poeta zajechał późną jesienią 1852. Pobyt trwał półtora roku, bo w czerwcu 1854 Norwid Stany Zjednoczone opuścił. Czas ten wypełniła choroba, smutek, ciężka praca, wreszcie szamotanie się z sobą, dochodzące do rozpaczy. *)

Dwie rzeczy ocaliły Norwida od ostatecznego rozbicia: **wiara**, którą czerpał z głębi swej duszy i z niewątpliwego wpływu Zmartwychwstańców; i **życzliwość** pełna serca i rozsądku, z listów Marii Trembickiej. Odpowiedzi na jej listy są znane. Listy zaś do Zmartwychwstańców, pisywane w chwili walk i cierpień duchowych, czekają na wydanie.

Pozwalam sobie z nich na parę ustępów, najbardziej charakterystycznych:

Z listu 1854, (maj, Nowy Jork):

„Raz... pisałem, albo raczej zakrzyknąłem z bólu wśród tych walk na każdą chwilę, walk o żywot, o sumienie, o możność zastanowienia się o czasie to jest spokoju chociaby tyle, aby nie smętno westchnąć ... W jednej z trudnych moralnych chwil udałem się do nuncjusza Bedíniego,**) który łaskawie i z właściwą dobrocią Świętej i Starej Matki naszej, Kościoła katolickiego przyjął mię — w wątpliwościach sumienia poparł i ośmielił.

...Doszedłem do tego, iż spowiednik każe mi w posty mięso jeść, krótkie modlitwy zaleca i staranie o wesołość ducha. Nie możecie wyobrazić sobie, do ila tu jest ciężko — nie mając od czasu do czasu przy czem głowę oprzeć i ogrzać się — wszelako wszędzie, gdzie starej matki naszej (Kościoła — przypisek aut.) ręka rozciągnęła się, choć chwilową ulgę znaleźć można, tylko mnie nie dla doskonałości, ale dla słabości często już to nie wystarcza, potrzebując od czasu do czasu rekolekcji tu niepodobnych."

W takim stanie poeta obmyśla powrót do Europy. Tym bardziej, że wojna turecka, która zamieniła się w wojnę krymską, ożywiła nadzieje i aktywność polskiej emigracji. Norwid poczuł się w obowiązku wziąć udział w tej akcji.

Fragment listu do Mickiewicza, jaki podał Przesmycki w Epistolarzu (t.I str. 148, n.114), dopełnia list do Zmartwychwstańców:

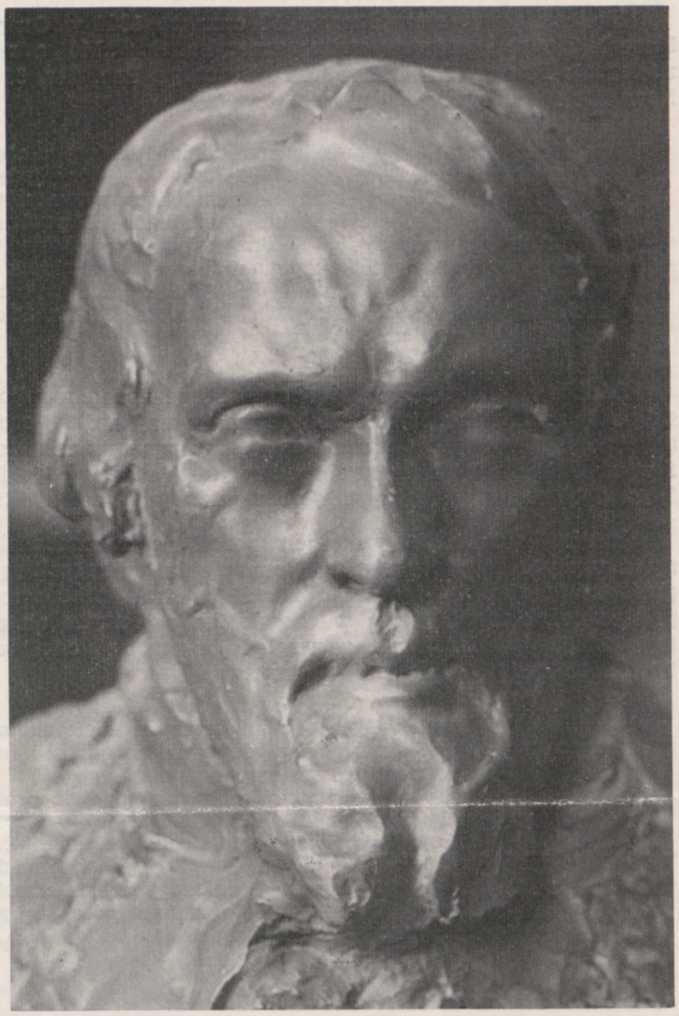
„..Nie dożyję drugiej chwili równie dla ludzkości i Oyczyzny ważnej. Idzie mi (o to jedynie), ażebym przeżył moment odpowiedzialności, realnej, który jeden daje pewną dojrzałość woli.

...Przez nadzieję Waszą zapytuję w formalnej kolei Dom XX. Czartoryskich, a mianowicie samego księcia, którego charakter monarchiczny pomijam, a jako **najstarszego obywatela** zawsze umiałem szanować: azali sądzi, iż przez cały czas bardzo małych i prawie żadnych dla dzisiejszego stanu nadziei, umiałem czuwać i być w udziale tego, co nastąpiło?...

Podobnie drugiego z Oyców naszych p. Adama Mickiewicza zapytać się również chciałbym z równą otwartością, jako człowiek nie szukający kariery, ale obowiązku — ale jużem się doń dość rozpisał o tym (patrz wyżej).

Pana Bohdana Zaleskiego, posła i przyjaciela mego, pytam również, azali byłem w komunii tego co następuje i odsełam do zwierzeń, które ku wytchnieniu pozwalał, ażebym mu od czasu do czasu robił.

Pana Zygmunta Krasińskiego również proszę, azali sądzi, iż jestem po za obrębem wszelkiego udziału i z powodu jakich — czy to moralnych, czy niedoświadczonych sił w przeciwnościach i cierpieniach?..."



Na bratniej mogile w Montmorency, gdzie pochowano Kamila Cypriana Norwida, ma być, staraniem Komitetu utworzonego w Paryżu, umieszczona rzeźba głowy poety, dłuta wybitnego artysty Stanisława K. Ostrowskiego. Według miarodajnych opinii Norwid jest w niej wierniej oddany niż na którymkolwiek bądź z nielicznych zresztą jego wizerunków, jakie posiadamy.

W tymże samym liście Norwid kontroluje, zdaje się, swoje krytyczne stanowisko w stosunku do Kościoła, czemu dał wyraz w liście do Augusta Cieszkowskiego z r. 1850 (Przesmycki I, 65, str. 60) ***)

---

*) Początek artykułu „Norwid i Zmartwychwstańcy" wydrukowaliśmy w N 10(571) ŻYCIA.

**) Stany Zjednoczone z racji swej masońsko-protestanckiej struktury nigdy nie posiadały Nuncjatury Papieskiej Msgr. Bedini, późniejszy Sekretarz Propagandy, a wreszcie kardynał, był zapewne nieoficjalnym Wikariuszem Apostolskim do spraw kościelnych w Stanach. (Historia Zgromadzenia Zmartwychwstańców, str. 222)

***) Ks. Arcab w studium „C. Norwid wobec Kościoła" („Nasza Przeszłość", IX, Kraków 1957) insynuuje Norwidowi niechęć do Zmartwychwstańców: „oburzał się na nich za to, że w rocznicę Powstania Listopadowego nie chcieli wygłosić kazania na nabożeństwie. Oskarżał ich o małość ducha i oportunizm życiowy, o bierność i zastój pracy w winnicy na niwie Pańskiej i przyklejał do nich złośliwe miano „nieruchomych świętych". Miał im za złe ich przesadną ostrożność w pracy duszpasterskiej i czyniąc porównanie do ewangelicznego sługi, co zakopał talent, groził im „talentów odebraniem". Na dowód

Zaskakuje tu myśl powrotu do Polski. Tym bardziej, że za parę lat Norwid surowo będzie osądzał tych, co radzą korzystać z amnestii. Świadczy to, w jak silnej depresji znajdował się poeta i jak rozpaczliwie szukał możliwości wyrwania się ze Stanów. Powrót do Polski łączy się z pragnieniem służby tam dla Kościoła.

List następny, stemplowany 18 czerwca 1854 w Outre Mere le Havre i podający adres amerykański: „Mój adres najlepiej: Prince [M] Lubomirski, Brooklyn Pac. Str. 384, New York America.":

„Piszę Wam z posłuszeństwem, jako Kościoła urzędnikom, bez któregobym istnieć nie mógł — który jeden był mi zawsze we wszystkich momentach sieroctwa mojego prawdziwym i zupełnym, przec wko któremu nie powiem, iżbym nawet zgrzeszył, a jeślim uczestnictwo jakie w ogólnym wypadku wziął, zaiste mniejsze niż ktokolwiek z wielu, albo bezwłasnowolnie i niezawodnie podczas burz zaiste rozpaczliwych..." (Norwid). — List do Ks. Ks. Jełowickiego i Semeneńki, Ameryka, maj 1854).

Zdanie to jest mocnym i pięknym stwierdzeniem miłości poety do Kościoła, tym cenniejszym, że najbardziej osobistym; jego zaś zakończenie jest jakby wytłumaczeniem i wyrównaniem tych nastrojów krytyki i rezerwy, jakie Norwid wobec Kościoła żywił jesienią 1850 r.

Jeszcze jeden ciekawy moment wnosi ten dokumentalny dla psychiki poety list: po omówieniu ewentualnego powrotu do Europy, by wziąć udział w akcji narodowo-politycznej, Norwid jakby w obawie, że w Paryżu chęci jego zostaną niedocenione, ze względu na osobę i charakter, które budziły zastrzeżenia, kończy:

„Wołam do Was Oycowie — i proszę módlcie się za mnie i za tych, do których się odezwać w ten sposób zobowiązało mnie sumienie —

„Gdybyście Oycowie uważali za słuszne odrzucić prośbę moją tą tak postawioną i w tej prostocie jej — pozostaną mi 2 rzeczy: 1. pocieszyć się, iż zadałem sobie to... 2. Bezpośrednio udać się do Polski, gdzie po 13 latach tu na drugim końcu globu nie raczono wszelako zupełnie mnie zapomnieć i gdzie jeden wyznawca więcej sprawie Kościoła i oyczyzny nie zaszkodzi."

(ibidem)

Naleganie to o pomoc duchową brzmi bardzo błagalnie i silnie. Stan psychiczny poety ulega zaburzeniom. Skarży się na wizje i wreszcie — jakoby rezygnując z pierwotnego planu: zawezwania do służby narodowej — konkretyzuje swój cel w ewentualnym powrocie do kraju: wstąpienie do zakonu. Posłuchajmy samego poety:

„Dziś 18-o rano widziałem kościół l'Asamption i ks. Jełowickiego modlącego się i innych... nie przyw'ązuję nic do tych wizyj z ciemności na światłość i odwrotnie, bo nie wiem, czy wedle tego, Który ciemności niema pojmuję ja — wielkie to udręczenie!

„Jeżeli mię opuścicie, może mi Zbawiciel nie odmówi, że wejdę tu w służbę do zakonu takiego, jaki w Polsce jest, a przynajmniej umrę może w zbliżeniu z całą boleścią naszą."

List następny, już z Londynu („12 septembra 1854."), prawdopodobnie do ks. Al. Jełowickiego, to dalszy opis udręk duchowych, wizji i trwóg i jęk bolesny, domagający się klasztoru.

„Byłoby aj byłoby mi o czem mówić nad czem płakać, za co pokutować!... Proszę więc Cię, Dobry Oycze, proszę nie opuść mnie, chcę zaciszy zakonnej i robót grubych, posłuszeństwa a przedewszystkiem (:boć to nie ze smutku ale z wesela robi się:) więc przedewszystkiem chcę omycia i oczyszczenia i rad z góry, z ordynacji, ażebym własną gorącością nie popychał się gorzej w złe."

Czyżby ta deklaracja Norwida do zakonu była połączona z utajonym oczekiwaniem, by domyślnie Zmartwychwstańcy przysłali mu wezwanie do wstąpienia w swoje szeregi? Bo choć pierwotnie poeta mówi „o zakonie takim, jaki w Polsce jest", gdy stanął na gruncie Europy, myśl powrotu do Polski mikołajewskiej znika a pozostaje chęć wstąpienia do jakiegoś zakonu, jako potrzeba duszy, spragnionej wewnętrznego porządku i kierunku.

Nie znamy listów Zmartwychwstańców do Norwida. Musimy raczej oprzeć się na domysłach. Jakich? Nie trzeba wiele, by dojść do wniosku, że Zmartwychwstańcy w takim stanie psychicznej depresji i zaburzenia nie mogli w ogóle doradzać Norwidowi wstąpienia do zakonu. Nie zaproponowali mu też i miejsca w swoich szeregach. Sami przechodzili wiele trudności z racji wybujałego indywidualizmu polskiego i stąd bolesnego załamania się paru członków, jak ks. Duński, który przeszedł do towiańczyków, lub ks. Terlecki, który dla lepszego oddania się nawracaniu schizmatyków wystąpił ze zgromadzenia, a po latach skończył na schizmie. Temperament, skomplikowana psychika poety, jego egzageracja i uczulenie stawało na przeszkodzie, by mu beztrosko otworzyć drzwi domu na via Claudio. Raczej podtrzymywano z nim stosunki osobiste, przychodzono mu z pomocą w postaci pożyczek, czy zaproszeń na obiady, ale na tym poprzestano.

I poeta pogodził się z losem. Zresztą powrót do europejskiego życia, do klimatu, jeśli nie ojczyzny — to klimatu polskiej emigracji, namiastki tejże ojczyzny, do zwykłych borykań i trudów, orzeźwiły Norwida. Znikły wizje. Być może, że pod kierunkiem przyjacielskim spowiedników zmartwychwstańskich uspokoiły się i wewnętrzne udręki. Stosunki wzajemne ułożyły się po linii przyjaźni i czci.

„Szanowny Oycze — pisze Norwid 16 maja (1857) do ks. Semeneńki. — Odebrałem list Jego w południe. Od trzech lat przeszło nigdzie nie bywam, a to z powodu, iż nie jest świat tego wart. Od tyleż czasu z Emigracyjnym ciałem zbiorowym żadnej serdecznej łączności nie mam, a to z powodu, iż zbiorowe to ciało nie jest niem... Od tyleż czasu bardzo oszczędne także mam i osobiste stosunki z powodu, iż z pracy rąk mych żyję, a to jest bardzo trudno, kiedy się jest i bezinteresownym przytem. Od tyleż czasu z indywidualnościami z kraju (oprócz familii mojej) najmniej staranne stosunki mam, a to z powodu, iż szanowni rodacy w Polsce teraz są sans le savoir: Targowicą i nie było jeszcze żadnego w Paryżu, któryby nie zapytał, czemu nie korzysta się z amnestii?"

Tak surowo odciąwszy się od społeczeństwa, przecie serdecznie dodaje Norwid w zakończeniu listu:

„Jeżeli przeto koniecznie potrzeba jest, abym osobiście mówił z D(rog)im Oycem, tedy mi proszę naznaczyć rendez-vous."

Nie łatwo było ks. Semeneńce ściągnąć Norwida pra-

---

cytuje urywek z listu do B. Zaleskiego z edycji Przesmyckiego (t. I, str. 69).

Przeczytałem ten list, który nosi datę 14 września 1850 (a więc roku i miesiąca, co i list do Cieszkowskiego z krytyką Kościoła i aluzją do poniechanego zamiaru wstąpienia w jego służbę.) Pisał to poeta w stanie jakiegoś zniechęcenia, chwilowego buntu i rozterki. Dlatego owych „nieruchomych świętych" można, choć nie jest to jasne i pewne, odnieść do Zmartwychwstańców. Natomiast nie znajduję żadnego oburzenia, które tłumaczyłoby się oporem Zmartwychwstańców wygłoszenia kazania na rocznicę listopadową. Zmarwychwstańcy — jak cała emigracja — wyrośli w Powstaniu 1830/31, żyli jego legendą, jego złudzeniami i apoteozą. Są liczne kazania i to ich właśnie, na obchód rocznicy listopadowej. Może tu chodzi raczej o odmowę ks. Kajsiewicza urządzenia nabożeństwa za ks. Ściegiennego, który pomijając patriotyzm, był głosicielem radykalizmu rewolucyjnego, i fałszerzem listu papieskiego? Ale to zmienia postać rzeczy. Chodziło o patriotę demagoga, a nie o rocznicę narodową. Inicjatorzy zaś tego nabożeństwa, Tow. Demokratyczne, swoim antykatolickim nastawieniem również nie zasługiwało na względy. Chodziło im o manifestację, a nie o nabożeństwo.

wdopodobnie na jakąś serdeczniejszą pogawędkę czy wspólny posiłek:

„Piszę z restaurant, gdziem zaszedł zjeść co — z przyniesioną umyślnie karteczką, aby zaraz napisać te pare słów."'

Znów następuje dłuższe uzasadnienie, że będąc zajęty pracą

„Mam prawo, aby kto może nie wołać mnie do siebie, napisał raczej czego chce, gdyż mi to czasu oszczędzi, z którego użycia nie robię handlu ni fortuny tylko poczciwy żywot. Racz przeto Oyciec zadać sobie pracę skreślenia poco wołasz, abym zastosował się do tego."

I znów ekskuza, czemu tak szczędzi czasu, zaś list zamyka ciepłym, choć smętnym zwrotem:

„...rzewny uśmiech miałem na ustach czytając, iż Oyciec — 'tymczasem' polecasz mię Matce Najświętszej, — to tak jakby kto komu tymczasem na drobne wydatki dał dwakroć sto tysięcy franków! Dobre i to! Przyjaciel i sługa Cyprian Norwid."

Te drobne urywki świadczą, że mimo wszystko z niełatwym i obolałym poetą stosunki były, i to bezpośrednie a wielce życzliwe.

* * *

Ale nadciągały lata sześćdziesiąte, które od modlitewnego nastroju przechodziły w coraz potężniejszą nawałnicę, z jakiej wystrzelił piorun krwawego roku 63-go. Norwid, wbrew ponurej ocenie, „że rodacy w kraju to sans le savoir Targowica" z napięciem śledzi rozwój wypadków, poddaje się duchowemu ich tchnieniu; to, co Kraj czyni, urasta w jego myśli do epoki, do symbolu, do wskazań do gwałtownego nawiązania z własną swą myślą i czynem.

„Oycze, z głębi ducha polskiego wyrywa się gwałtowna potrzeba — pisze Norwid wiosną 1861 do bezimiennego Zmartwychwstańca (Semeneńki — najprawdopodobniej) — zrobienia bardzo solennego nabożeństwa przez Polaków za krajem będących o uproszenie łask Ducha Św. dla cesarza Alexandra 2-go".

Propozycja zadziwiająca! W rzeczy samej jednak nie chodzi poecie o jakiś oportunizm. Chodzi mu o to, by światu pokazać nasze chrześcijaństwo: chodzi o to, by Polacy cierpiąc na wzór męczenników modlili się o łaskę dla prześladowców. Dlatego radzi:

„Cudzoziemców zawiadomić trza, że tą tylko bronią walczy cały naród. Z Bogiem tylko i w Bogu: dla wroga (:bliźniego:) ziemskiego, wroga jakoby, gdyż tak z woli Boga postawionego — tylko łask dopraszać się możemy... Tą tylko nową bronią idąc naprzód, Bestię, zawładającą już tylko ostatnimi konwulsjami świat, — powalimy na ziemię."

I dalej radzi Norwid, by tę Mszę św. w tak wzniosłej intencji celebrował „Pasterz Zagrody" — arcybiskup paryski. „I do Papieża — dodaje — naszej jedynej władzy prawej — w tym samym duchu adres od Polaków jest konieczny... Ojcu Świętemu kiedy zewsząd opuszczony — ten krok zbiorowy ucieczki pod Jego skrzydła i obronę, będzie miły niezawodnie. Ale i cesarza oświeci, kto my istotnie jesteśmy."

Myśl w istocie swojej głęboka i chrześcijaństwem najdostojniejsza. Wiemy i dziś, że mimo całego bestialstwa bolszewickiego, bezbożnictwa i ludobójstwa, wiele szczerych dusz polskich idąc za wezwaniem z Fatimy — modli się za Rosję. Modli się i cały świat katolicki o to wielkie nawrócenie, co nie jest równoznaczne z rezygnacją z walki i obrony. Chodzi o dusze, a nie o doktrynę. Tak to rozumiał i Norwid.

Ale czy to była odpowiednia chwila i czy forma nie była zbyt ostentacyjna? Czy nie napotkałaby się ze zdecydowanym oporem i nie dałaby broni do ręki wszelkim rewolucyjnym ośrodkom przeciwko katolicyzmowi polskiemu?

Nie znamy odpowiedzi Zmartwychwstańców. Zresztą, niedaleki już był dzień 8 kwietnia 1861, który okrucieństwami na ulicach Warszawy przerósł dni lutowe i symbol Pięciu Trumien.

Jesienią 1861 po wypadkach październikowych, które wywołały zamknięcie kościołów, sam Norwid w liście do nieznanego adresata (Semeneńki?) podnosi dostojeństwo oporu bezbronnych.

„Brat mój Xawery Norwid wybrany ludu warszawskiego*) zbity kolbami bagnetów moskiewskich pod ołtarzem św. Jana, wtrącony potem do więzienia, kiedy tłumami **wypychano ich z twierdzy po kilku dniach, powiedział, że chce być sądzony i że popychany i z łaski wypuszczony nie wyjdzie z więzienia** — i został w tw.erdzy, a co dalej, to Bóg wie jeden. Był z nim hr. Stanisław Zamoyski, o którego uwięzieniu, skoro Oyciec dowiedział (hr. Andrzej p. w.) się, odpowiedział: „Dobrze, — nich siedzi, — widać że tak godziło się, ale p. Zamoyski jest już wolny; — Oyca Juwenalisa kapucyna ostrzegano, aby dyplomatycznej kazania swe obrabiał — ale Oyciec Juvenalis nic nie odpowiedział, a skoro potrzykroć to nalegano, rzekł podnosząc rękę w siermięgi rękawie: „Czy dadzą mi siermięgę grubszą niż ta, która mi jest miła, — czy powrozem przepaszą mię twardszym? — czy nogi mi obnażą? — czy w celi ciaśniejszej umieszczą? Idźcie i powiedzcie, że pytam o to, który w Chrystusie zwyciężam!"

Kraszewskiego, który odwiedzał Norwida w r. 1874, uderzył oryginalny biały krzyż, gdzie zamiast postaci Ukrzyżowanego widniało pięć krwawych śladów po przebitych dłoniach i stopach. („Kartki z podróży", Warszawa, 1874). Jeden ze współczesnych norwidystów (Jan Górski) podkreśla również oryginalność tego krzyża.**)

Zagadkę, czemu tak Norwid krzyż pojął, rozwiązuje cytat z tegoż listu (1861):

„Tam i ówdzie po każdej rzeczy podnoszą się głosy do duchownych, **aby mniej było rozpiętych posągów Zbawiciela na krzyżach,** bo powiadają, że patrzeć im bolesna (rzecz) na to. — I że wolili by się modlić w miejscu, gdzie byłby krzyż tylko ze śladem gwoździ, — bo czują w sercu ból, gdy patrzą na nieodpoczniona z krzyża postać... Coś, co przypomina katakumby, gdzie nie malowano na krzyżu rozpiętej postaci, ale krzyż sam — a w sercu było dalsze krzyża widzenie... żywe..."

Dlatego i Norwid uczynił dla siebie krzyż ze śladami gwoździ i krwi ran Zbawiciela, krzyż, który by mu przypominał, że jest kołyską Zmartwychwstania.

Rok 1862 (wiosna?) przynosi list w innym nastroju. Patriotyzm polski zlewa się w nim z patriotyzmem rzymskim, katolickim:

„podmuchy namiętne, które dziś nie pozwalają dojrzeć żadnym pierwocinom wszczynającego się na świecie **patriotyzmu chrześcijańskiego,** powodem są, — iż — mniemam, że obowiązani jesteśmy nie tylko sercem i duchem przy osobie i imieniu Oyca Ś-tego obstawać, ale nawet publicznie zbiorową naszą w tej mierze modlitwą uwydatnić...

Zanoszę przeto więc do was Czcigodni Oycowie prośbę, abyście mieli publiczne modły na rzecz siedzącego na Stolicy Apostolskiej Piusa, władcy Rzymu".

A czyni to Norwid z racji przekonania, że my jesteśmy ludem, z którego „historyczność i chrześcijaństwo jednopromiennie wzeszły i wzrosły." Powinniśmy tedy rozumieć, że „Rzym od parabolicznie porwanego w niebo Romulusa i od kapłana Numy Pompiliusa, których Sybilijskich słuchał natchnień — słowem od początku swego i przez cały ciąg pontyfikalnego: senatu i patriciatu: **zawsze był kapłański!...**"

Tak to harmonijnie zawsze u Norwida Polska zlewa się z Rzymem: patriotyzm z chrześcijaństwem.

Rok 1862 pozostawia trzy listy do o. Karola Kaczanowskiego. Listy noszą charakter spraw osobistych. Nor-

---

*) Do tak zwanych „konstablów", którzy od pogrzebu 5 poległych przyjęli z wyboru obowiązek bezpieczeństwa publicznego.

**) Jan Gorski: Norwid („Życie i Myśl", 7/9, 1952)

wid załatwia sprawy ślubne przyjaciela swego Józefa Łussakowskiego z Lipska. Zdaje się poręczał jego stan wolny. Po ślubie wyłoniły się jakieś wątpliwości:

„Załączam Kochanemu Oycu list Łussakowskiego, w którym donosi mi to, co jedynie dla uszanowania Nunciusza, potocznie Oycu wspomniałem; załączam dlatego, że Oyciec mi zarzuciłeś, iż Łussakowski zdawna był żonaty, — znam go jako zacnego czlowieka i zupełnie wierzę, że Oyciec w tym względzie w błędzie jesteś. Gdyby nie duchowny mi to mówił, wcale na to nie zwróciłbym uwagi, ale że Oyciec mi to powiedziałeś i że ja go Nunciuszowi rekomendowałem, więc nie życzę sobie, aby i taki cień wieści błędnej istniał... **...gdybyśmy nigdy niczyjej zacności nie wierzyli, miłosierdzie nasze szwankowałoby, bo nic nikomu nie moglibyśmy pomódz i w niczym być poręką.**"

Urywek o tyle ciekawy, że odbija cechę chrześcijańskiej uczynności Norwida, który w miarę swej możności spieszy z pomocą innym. Oto podobny, charakterystyczny urywek z innego listu do tegoż o. Kaczanowskiego:

„Donoszę Czcigodnemu Oycu, że nie będę mógł dość śpiesznie u żony malarza uwięzionego być z przyczyny, iż sam jestem w tych dniach w bardzo trudnym położeniu, — bo **żyję z prac** moich co bardzo łatwo i krótko pisze się i mówi!"

Następuje gorzka uwaga na temat niepunktualnego wypłacania się edytorów, a poczucia własnej godności poety „że Polakiem jestem i nie kłaniam się!" Wreszcie zakończenie:

„Nie długo wszakże te nikczemne drobnostki uspokoję, a wtedy zaraz do żony malarza zaleconego mi pójdę niewątpliwie".

Listy do ks. Kaczanowskiego kończy poeta zawsze serdecznym: „ramię Kochanego i Czcigodnego Oyca całuję"; ramię Oyca całuję; ramiona Czcigodnego Oyca całuję." Formuła ta świadczy o zażyłym i przyjacielskim stosunku poety ze Zmartwychwstańcem.

Na tym korespondencja w archiwum rzymskim urywa się.

Czy urwała się zupełnie? Przesmycki w swoim epistolarium podaje jeszcze list do ks. Al. Jełowickiego z 1868 (509). Na wystawie Norwida w Warszawie w 1946, jak już wspomnieliśmy, był list nieznanej nam treści z 13 lutego 1863. Słyszeliśmy, że po śmierci ks. Jełowickiego kufer z jego papierami w Paryżu uległ zniszczeniu. Być może, że znajdowały się tam jeszcze jakieś listy, a może i utwory poety.

Bądź co bądź, po roku 62 pozostałe ślady łączą się z osobą ks. Jełowickiego. Inni przyjaciele Zmartwychwstańcy znikają nawet w zmiankach korespondencyjnych. Dlaczego? Czy nie zaważył tu rok 1863 i rozbieżny stosunek przyjaciół do tego tragicznego wydarzenia? Księża Zmartwychwstańcy (Kajsiewicz i Semeneńko) z wysokości Rzymu w ruchu tym widzieli tylko akcję karbonarów i masonów. Że częściowo tak było, dowodzą tego nazwiska Mierosławskiego i Garibaldiego, loża w szkole wojskowej w Cuneo, kontakty, zwłaszcza włoskie, uzależnione od masonerii. Ale potężny ruch w 1863 obejmował cały naród i tragicznym nieporozumieniem było, że Zmartwychwstańcy nie orientowali się w sytuacji; nie wiedzieli do końca kim był np. Giller a także Traugutt i jego najbliżsi współpracownicy, jak Dubiecki, mecenas Henryk Krajewski, czy Roman Żuliński. Zbyt pochopnie i gorączkowo uwierzyli w rzekome wstąpienie do loży Wł. księcia Czartoryskiego, o czym zaalarmowali Piusa IX.

To, co wykopało przepaść między ruchem 1863 a Zmartwychwstańcami, to był list otwarty ks. Kajsiewicza z końca 1862 roku do „Braci księży grzesznie spiskujących i do braci szlachty niemądrze umiarkowanej". List pojawił się omal przed wybuchem, w atmosferze najbardziej napiętej. Skwapliwie przedrukowany, z dowolnie opuszczonymi ustępami przez prasę rządową rosyjską i niemiecką, w społeczeństwie polskim został na ogół przyjęty jako niesprawiedliwy, niepatriotyczny, ba, trącący Targowicą sąd. Rozgoryczenie było wielkie i zdecydowanie zaciążyło na opinii Zmartwychwstańców. Odcinano się od nich i potępiano w czambuł równie niesprawiedliwie i przesadnie. W łonie samych Zmartwychwstańców za ks. Kajsiewiczem zdecydowanie stanął o. Semeneńko. Ks. Jełowicki, w przeciwstawieniu do opinii Rzymu, z Paryża patrzał inaczej na ruch, jako na patriotyczną walkę o wyzwolenie. „List otwarty — pisał — trochę na kredyt został puszczony. Myślę, że dobrzeby było wstrzymać się od rozsyłania go po kraju, aż się wyświeci czy słuszny i potrzebny. Powstanie bowiem w Polsce nie jest masonerią. Ja masonem nie byłem, a powstańcem byłem i biłem się, modląc się.*)

Inny przyjaciel Norwida, ks. Kaczanowski, wprawdzie stanął po stronie ks. Kajsiewicza, ale stary wiarus, choć wysłany na misję do Konstantynopola, przeżywał ciężko walkę o wolność w kraju.

„Rady sobie dać nie mogę — pisał 2 lipca 63 r. —Ilekroć wspomnę tylko o kraju, łzy z wielkim bólem serca cisną mi się do oczu. Oto i w tej chwili płaczę. Takie ogromne ciśnienie w sercu, taka niechęć do zajęcia się tem, co powinienem, iż sobie rady dać nie mogę, do wszystkiego zmuszać się muszę. Wszystko mi nie miłe... tylko bym płakał i płakał." (Ks. Kwiatkowski: „Historia", str. 234).

Widać więc, że poglądy XX Zmartwychwstańców, nawet wewnątrz Zgromadzenia były różne w ocenie powstania. W żadnym zaś wypadku nie były wyzute z patriotyzmu. Ale ich przeciwnicy, z góry uprzedzeni, w miarę klęski tym bardziej rozjątrzeni, piętnowali ich bez pardonu. Zwłaszcza wykolejeni księża eks-powstańcy. Oliwy do ognia dolewali niekoniecznie roztropni i inteligentni ajenci Rządu Narodowego przy Watykanie. Gabriel Łuniewski i Władysław Kulczycki.

Norwid stanął po stronie ruchu. Sercem, myślą i piórem angażował się po stronie Powstania. Jak zawsze — jednak pełen dystynkcji i zastrzeżeń. Niemniej jednakże współpracował i przyjaźnił się z wielu wybitnymi przedstawicielami Powstania. Traugutt wprawdzie, jako Komisarz pełnomocny Rządu Narodowego zdyskwalifikował go jako kandydata na kierownika pisma, ale gen. Wł. Zamoyski chętnie odbierał jego memoriały i uwagi.

Nic też dziwnego, że w przyjaźni Norwida ze Zmartwychwstańcami wytworzyła się szczerba, zapanował chłód, ucięła się korespondencja. Norwid jednak, który przyznawał prawo „do szlachetnego różnienia się przyjaciół", nigdy nie atakował Zmartwychwstańców. Nie znamy — jak dotąd — żadnej gorzkiej uwagi poety pod ich adresem. Ale stosunek swój ograniczył bodaj tylko do ks. Al. Jełowickiego.

Jego to wymienia jako członka proponowanej władzy prawowitej dla emigracji wśród innych pięciu (jako posła sejmu z 1831), którzy byli wybrani „wolnymi głosami obywateli" (list do Bohdana Zaleskiego z 1869, marzec — 536). W liście do Bronisława Zaleskiego, gdzie po katolicku krytykuje brak kapłaństwa u księży, ze czcią pisze o ks. Jełowickim:

„Zacny, a może święty ks. Aleksander Jełowicki jest księżę (czernihowskie lub inowrocławskie??)..." (List 703)

Z drugiej zaś strony i ks. Jełowicki o wiernym przyjacielu pamiętał, by mu w sposób dyskretny dopomóc.

To może było powodem przejściowego starcia między Norwidem, ks. Jełowickim i Michałem Kleczkowskim, dyplomatą francuskim a krewniakiem poety. List Norwida, pisany po francusku do ks. Jełowickiego (a który podał Przesmycki: t. II, list 509), łącznie z listem poprzednim (508, pisanym do Kleczkowskiego) jest świadectwem ja-

---

*) Ks. Jełowiecki do ks. Kajsiewicza: cytuję za ks. Wł. Kwiatkowskim: Historia Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego, Rzym, 1942, str. 239.

kiejś ostrej acz nobliwej kontrowersji. Norwid podkreśla swój nie amatorski ale zawodowy charakter artysty: „un écrivain (qui ne peut ne pas compter avec ses oeuvres dans son pays) est **un artiste accompli**".

To, co może więc być dobre dla p. Kleczkowskiego, nie może być dobrym dla kogoś w innym wieku i stałego zajęcia (métier constant). A widzi, że „Czcigodny Oyciec znów szuka okazji, by sekundować zacnemu kuzynowi w tym błędzie, że gdy punkt wyjścia fałszywy to i deklaracje są podobne."

„...Zechciej wiedzieć, Estimé Père, że wielu ludzi zawdzięcza mi nie tylko pomoc pieniężną (service pécuniaire) ale i wybawienie z ciężkiego więzienia (des prisons fort), że winni mi są życie:" I stąd wniosek („Ceci m'a donné la connaissance, que pour faire du bien à quelqu'un il faut toujours commencer par respecter et apprécier et comprendre son individualité"). „To uświadamia się, że aby komuś uczynić dobrze, trzeba zawsze na początku uszanować, ocenić i zrozumieć jego indywidualność."

Może ta korespondencja świadczy o zabiegach Kleczkowskiego za pośrednictwem o. Jełowickiego, by walczącemu już z nędzą poecie przyjść z pomocą. Może przez umieszczenie go w schronisku św. Kazimierza? Norwid więc energicznie wzbrania się od tej formy pomocy, nie uważając siebie ani za lekceważonego artystę z urojenia, ani za bezradnego starca. *)

Bądź co bądź konflikt nie zerwał przyjaźni i szacunku, jaki miał dla ks. Jełowickiego. Pozostała jednak czujność, by honor jego i niezawisłość nie poniosły szwanku. Toteż w liście z 27.2.1874 do tegoż Bronisława Zaleskiego znajdujemy ciekawe tego świadectwo:

„Pięćdziesiąt franków, które z rąk C-go X. Jełowickiego wziąłem był, jeżeli nie są z ogólnego źródła, uświęconego **ogólnym nieszczęściem** (jak dawałeś mi uczuć, lub jak ja posądziłem,) tedy i takowe ówdzie zapisze się"...

Pisze to poeta w przystępie jak zawsze czułej skrupulatności, by nie korzystając z łaski, spłacać długi...

Dla zbiorowości Zmartwychwstańców, mimo szkalowań emigracyjnych, dał Norwid wyraz szacunku jako katolickiej władzy duchownej na Emigracji.

W r. 1869 społeczeństwo polskie zostało wstrząśnięte nowym pomysłem rusyfikacji. Władze rosyjskie na ziemiach kresowych północno-wschodnich usiłowały narzucić język rosyjski do nabożeństw dodatkowych, przez wprowadzenie tzw. „trebnika". Była to książka liturgiczna z modlitwami tłumaczonymi po rosyjsku. Wywołało to ogólne oburzenie, Watykan pomysł potępił i zakazał, by „trebniki" przyjmować.

Norwid tedy pisze (13.VI.69) w liście do Bronisława Zaleskiego:

„**Kwestya bieżąca Zmartwychwstańców**: ... Mając uniwersytet Jagielloński strażnicą języka i mając 100 podpisów literatów, którzy na ten język pracują i mając posłuch wolnymi głosy wybrany [mowa o piątce pozostałych posłów na sejm 1831 r.] ludzie wolni lub chcący być wolnymi, biorą 100 podpisów Uniwersytetu i Literatury i biorą jednego posła [X. Jełowickiego?] i wysyłają na trzeci dzień po ogłoszeniu wieści — do Wiednia, do J.E.Nuncjusza Apostolskiego z zapytaniem: jak traktować wieść, która w obecnym ucisku języka narodowego już jako wieść sama jest faktem szkodliwym?

...Zaś uczeni a czujni kapłani, w takowych zaiste smętnych okolicznościach, zwykle wybierają biegłego, który ma publiczną lekcję **o ważności teologicznego wyrobienia języka polskiego**, języka Skargów, Birkowskich i Kuczborskich... **o podobieństwie albo niepodobieństwie teologizowania katolickiego językami, które** tej przeszłości nie mają???"

Krótko mówiąc, chce Norwid widzieć w Zmarwychwstańcach straż polskiego katolicyzmu przeciwko zamachom schizmatyckiej Rosji — w kościele i wolnym świecie.

Stosunki wreszcie osobistych związków ze Zmartwychwstańcami rozluźniła śmierć. W r. 1873 zmarli ks. Kajsiewicz i Kaczanowski; w 1877 zmarł ks. Al. Jełowicki. Pozostał ks. Semeneńko. Ten przeżył poetę, bo zmarł w 1886 r. Zdaje się jednak do bliższch kontaktów już nie doszło. Ks. Semeneńko, który w dzienniku swoim wiele umieszcza nazwisk, nie wymienia Norwida, nawet daty jego śmierci.

Pozwólmy na ostateczne sformułowanie.

Stosunek Norwida do Zmartwychwstańców był długą, na ogół trwałą przyjaźnią. Miała ona swoje „schmurzenia" i swoje rozjaśnienia.

Pierwsza bodaj taka chmurka pojawiła się w 1850 r. Może poeta odczuł boleśnie zawód, jaki go spotkał od wybranego literackiego powiernika, ks. Hieronima Kajsiewicza? Po tym roku poeta w listach go pomija, a wzmianki o nim daje w tonie szorstkim. Lata następne, zwłaszcza r. 1852, stosunek ożywia korespondencja ze spowiednikiem ks. Semeneńką. Nasila się ten stosunek najmocniej w czasie tułactwa w Ameryce i bezpośrednio po powrocie do Europy, w 1854. Poeta sugeruje swoje wstąpienie do zakonu, spodziewając się może propozycji ze strony Zmartwychwstańców. Napróżno! Stąd listy do ks. Semeneńki dość oschłe, aczkolwiek przyjazne. Rok 1862 znów ogrzewa stosunki. Poza ks. Jełowickim pojawia się w korespondencji ks. Kaczanowski. Rok 1863 spowodował prawdopodobnie przerwę w korespondencji. Przyjaciele stanęli po przeciwnych stronach barykady. Pozostał jedynie ks. Jełowicki, jako przyjaciel osobisty. Szacunek jednak ze strony poety dla Zmartwychwstańców, jako księży i Polaków, zmianie nie uległ.

Czym ta przyjaźń była w życiu Norwida? Pogłębiła jego wiarę; rozbudziła mocny **sensus catholicus Romanus**. W chwilach ciężkich dawała dźwignię i siły. Księża Zmartwychwstańcy traktowali go z sympatią i współczuciem jako marnującego się i nieszczęśliwego człowieka. Jako poety, podobnie jak ogół, nie rozumieli go. Może ks. Jełowicki? I stąd ten najdłuższy stosunek ciepłej z nim przyjaźni?

Ks. Al. Jełowicki zabiegał o druk „Litanii". Księdza Jełowickiego poeta uczcił dedykacją tejże „Litanii". A może ks. Jełowicki był i jej inspiratorem? Nie ma też żadnego śladu, by ks.ks. Zmartwychwstańcy interesowali się Norwidem jako artystą, choć on sztukę swoją religijnie traktował, a zamówienie przez Szarytki obrazu św. Stanisława Kostki przyjął omal z nabożeństwem.

Natomiast przyjaciele Zmartwychwstańcy starali się mu dopomagać dyskretnie w sprawach materialnych. Stąd pożyczki, a może i raz po raz zaproszenia na wspólne obiady?

Gdy śmierć zabrała tych księży przyjaciół, z którymi Norwid żył w latach czterdziestych, pięćdziesiątych, sześćdziesiątych — nowych kontaktów już nie nawiązywał. Pozostał samotny na rue Chavaleret, z umęczoną i zgorzkniałą duszą, a przecie z nadzieją, że „późne wnuki" odnajdą go i ocenią. Tak się też stało. Przyjaciel Zmartwychwstańców — doczekał duchowego „zmartwychwstania historycznego".

Ks. Józef Jarzębowski I.M.C.

---

*) Taką sugestię wysuwa p. prof. Sławińska, zapytywana o zdanie.

W ŻYCIU N 10/571/ w I części art. „Norwid i Zmartwychwstańcy" opuszczono wiersz 4-ty od dołu, szp. 1, str. 5. Po słowie „z kolei" powinno być: Ludwik Norwid (wysłannik Towiańskiego) napadł na nie— Przepraszamy Autora i Czytelników za to przeoczenie.

WŁADYSŁAW GÜNTHER

IDEOWI SPADKOBIERCY KRASIŃSKIEGO
NORWID I WYSPIAŃSKI

Pod wrażeniem śmierci Mickiewicza, Krasiński napisał do Adama Sołtana 5 grudnia 1855 r.: „...on był dla ludzi mego pokolenia i miodem i mlekiem i żółcią i krwią duchową... My z niego wszyscy...“

Gdy w niespełna cztery lata później umarł Krasiński, o nim tak nie napisał nikt. Jego twórczość nie miała wówczas rozgłosu ani na emigracji ani w Kraju, choćby dlatego, że Krasiński krył się z nią przed własnym ojcem, jak też przed żandarmerią rosyjską i podpisując się pseudonimami lub nazwiskami przyjaciół, pragnął w ogóle pozostać „poète anonyme...“

Dopiero załamanie się romantycznych haseł po powstaniu 63 r. utorowało drogę wyrozumowanemu optymizmowi „Przedświtu“, dopóki nie wydrwił go schyłkowy pesymizm „Młodej Polski“.

Nie znaczy to, by dlatego zamarły idee Krasińskiego. Przeciwnie, smutna rzeczywistość Polski potwierdziła ich słuszność, jego niewiarę w gwałtowne przewroty i strach przed terrorem Rosji oraz że „celem światów szlachetnienie“.

Idee te miały nadal wyznawców i znalazły spadkobierców przede wszystkim w osobach dwóch najwybitniejszych poetów po „wielkiej trójcy“, w Norwidzie i Wyspiańskim.

Lecz, jak wiadomo, spuścizna Norwida czekała dopóki Miriam-Przesmycki nie wydobył jej z zapomnienia. Spadek Norwida po Krasińskim ujawnił się więc dopiero z początkiem XIX w. W tym samym czasie, w 40 lat po śmierci Krasińskiego, rozkwitła twórczość Wyspiańskiego. Przy tym Wyspiański za swego życia był „poetą Krakowa“, mało znanym w całej Polsce. W dodatku, bunt przeciw niewoli, który jest nicią przewodnią jego dzieła, przycichł w okresie niepodległości, będąc echem epoki minionej.

Dopiero w czasie ponownej niewoli Polski i szukania broni dla politycznej walki, znaleziono jej najwięcej u Norwida i u Wyspiańskiego, którzy przejęli ją od Krasińskiego.

Należy jednak zaznaczyć, że Norwid i Wyspiański nie są w pokoleniowej od siebie zależności, tj. że choć Norwid jest duchowym synem autora „Przedświtu“, a Wyspiański jest jego „późnym wnukiem“, Norwid i Wyspiański są... braćmi, pochodzącymi obaj wprost od Krasińskiego, którzy wzbogaciwszy się jego dorobkiem, poszli w świat, każdy własną drogą...

KRASIŃSKI I NORWID

Zdobywszy w Polsce sławę poety i artysty malarza, Cyprian Norwid wybrał się do Włoch, aby dalej kształcić się w sztuce. W Rzymie poznał Krasińskiego, z początkiem 1848 r. Obaj poeci poczuli natychmiast wzajemne powinowactwo.

Krasiński zjechał do Rzymu po Norwidzie i pierwszy go odwiedził 8 stycznia. Tegoż dnia przedstawił go listownie Delfinie Potockiej... „człowiek młody... fantazji ogrom i tkliwości. Nerwowa natura, zagmatwana, siebie sama niedokładnie pojmująca, ale prześliczna, nie tytańska, ale prześliczna!... Choroba, nędza, a wszystko to w tęczy. Uprzejmość, grzeczność, wdzięczność i wdzięk...woń jakaś arystokratyczna! Z godzinę siedział...“

A Norwid 9 lutego napisał do Bohdana Zaleskiego: „Zygmunt jest jednym z niezwyczajnych przykładów trzeźwości w mistycyzmie, który tylko znajomość katolicyzmu zrodzić może.“

Tymczasem 6 lutego przybył do Rzymu Mickiewicz, celem uzyskania błogosławieństwa Piusa IX dla idei swego Legionu. Lecz jego heretycki towianizm i fanatyczny radykalizm nie zyskały uznania Watykanu. Krasiński dopomógł nawróceniu się i audiencji Mickiewicza u Papieża, jednakowoż zrażony panslawizmem i rewolucyjnym nastawieniem „wodza“, rzucił mu w twarz, że jest... Pankracym. Norwid zaś wyraził się o Mickiewiczu, w liście do gen. Skrzyneckiego z 15 kwietnia: „Ten człowiek straszny jest dla Polski.“

I Norwid wpatrzony w Krasińskiego wchłaniał jego ideologię, tak że jego utwory z rzymskiego okresu, „Psalm wigilii“, „Wigilia“, „Jeszcze słowo“, a zwłaszcza „Pieśni społecznej stron cztery“, „Niewola“ i „Zwolon“ są jakby parafrazą „Psalmów przyszłości“, tchnąc chrześcijańskim fatalizmem, ufającym w rychłą ewolucję ziemskiej niedoli w Boże Królestwo. Stąd potępienie wszelkiego społecznego wstrząsu, a tym bardziej krwawego przewrotu. W Norwidowym „Psalmie wigilii“ przejawia się nawet, pod wpływem „Przedświtu“, błogosławieństwo przeszłości i mesjanistyczna wdzięczność za męczeństwo Polski:

> "O, dzięki Tobie za państwo boleści,
> I za męczeńskich koron rozmnożenie,
> I za wylaną czarę szlachetności
> Na lud, któremu imię jest — cierpienie,
> I za otwarcie bram nieskończoności!“

Powoli jednak Norwid trzeźwieje i również za Krasińskim żąda od narodu nie ofiary, lecz dobrej woli. Potępia więc Mickiewicza za wyprowadzenie z Rzymu na śmierć kilkunastu straceńców, zbałamuconych legionowym „składem zasad“. Wedle jego haseł Polska miała być cząstką Słowiańszczyzny, z ziemią wywłaszczoną na korzyść gmin, przy równouprawnieniu kobiet. Krasiński nie wahał się oświadczyć, że zasady, na podstawie których Mickiewicz chciał budować przyszłą Polskę „jako słowa są niebem na ziemi, ale jako czyn mogłyby się przekręcić w piekło na ziemi“ (list do Delfiny Potockiej z 5 kwietnia). Tę samą myśl wypowiada Norwid w poemacie „Pieśni społecznej stron cztery“, zarzucając Mickiewiczowi niewłaściwe potraktowanie własności, która powinna istnieć jako nie posiadanie, lecz władanie, wyrównanie poczuciem obowiązku pracy na rzecz ogółu.

Wystarcza przytoczyć kilka ustępów „Pieśni społecznej, aby ustawić Norwida z Krasińskim w jednym szeregu, z którego po kilku latach Norwid wysunie się naprzód po drodze społecznego postępu:

> „Wolność w Polsce będzie inna,
> Nie szlachecko-złota,
> Nie słomiana wolność gminna...
> ....
> Wolność będzie z dobrej woli
> Jak w pieśni rymowej...“ (w „Psalmach przyszłości“).

A własność...

> „Własność nie jest posiadaniem
> (często niewłaściwie)
> Lecz społecznem używaniem...“

Przy tym wytyka Mickiewiczowi ukłon w stronę Rosji:

> „Bo Mikołaj też posiada
> Litwę i Koronę,

A jednakże coś w nas gada,
Że to ukradzione!"

Polskę zaś zbawi:...

„Nie spisek ani zmowa,
Ani sprzysiężenie,
Ani żadna partia nowa,
Lecz — wielosumienie!"

W poemacie „Niewola", pochodzącym również z rzymskiego okresu, choć wydanym w 1863 r., Norwid buntuje się przeciw niewoli ducha i zgodnie z „Psalmem dobrej woli" przeciwstawia jej pracę nad sobą:

„Jeśli bo z siebie wyrzucisz niewolę
....
Zrobiłeś wiele, wiele bracie miły.
W tych katakombach tej polskiej mogiły."

Latem 1848 r. Krasiński wyjechał z Rzymu, chcąc uniknąć rewolucji włoskiej. Skoro osiadł na jakiś czas w Paryżu, podążył za nim Norwid, mając obietnicę dalszej pomocy finansowej, jaką otrzymywał już w Rzymie. Lecz w Paryżu stosunki obu przyjaciół poczęły się rozluźniać. Krasiński pozostał na „Okopach Św. Trójcy", z których zeszedł Norwid, chcąc zbliżyć się do ludu, choćby swą teorią o Sztuce, wyłożoną w „Promethidionie". Krasiński dziwił się Norwidowi, że dla niego „największym prosty lud poetą, co nuci z dłońmi ziemią brązowymi" i że Chopin jest artystą narodowym, bo twórczość swoją czerpie z duszy ludu.

Nie naprawił tych stosunków napisany jeszcze w Rzymie poemat „Zwolon", tytułem mający przypomnieć „Irydyona", a treścią pogłębić antyrewolucyjną ideę Krasińskiego, który zresztą był jego bohaterem. Jest to, jak go określa Norwid, „dramat emigrancki" i „różnogłosy monolog", w którym Zwolon broni władzy królewskiej przed ludem, lecz jest w tej walce bierny, gdyż à priori zgodził się z-wolą Boga i stąd jego imię. Norwid wprowadza do poematu również Mickiewicza, jako Boleja, aby mu wymówić „wallenrodyzm'", jak też Konrada „zemstę na wroga". Zwolon ukamienowany przez tłum odżywa w następnym pokoleniu przez usynowienie Pacholęcia, które z kolei staje się obrońcą Okopów Zamku. Jest to więc pośmiertny tryumf hr. Henryka z „Nieboskiej", odradzającego się w Orciu, który nie umarł, lecz zwyciężył. Jest to również. pod wpływem „Psalmu Miłości", przeciwstawienie idei rewolucji teorii ewolucji, zgodnej z-wolą Bożą.

Niestety, trudny do zrozumienia „Zwolon" nie zyskał uznania Krasińskiego. W czerwcu 1849 r. napisał on do Norwida list ojcowski, ostatni przed 8-letnim zerwaniem. „Jasność w mowie i piśmie jest mowy i pisma bratnią dla ludzi miłością, ciemność zaś egoizmem. Bo Ty używasz i rozkoszujesz, a ludzie nie używają i nie rozkoszują. Jak arystokrata się z nimi obchodzisz. Tu potrzeba być demokratą... światło powinno być sztuki oddechem..." Donosząc zaś Stanisławowi Koźmianowi, redaktorowi „Przeglądu Poznańskiego" (jesień 1850), że razem z Augustem Cieszkowskim postanowili przestać „dawać na druki Norwida" — dodaje Krasiński: „jeśli co rozumiem to krwawą pracą. Takiej zaś poezja nie dozwala."

Do tej ujemnej oceny twórczości Norwida dołączyły się jeszcze niesnaski na tle politycznym. Krasiński np. pochwalał gubernatora Paryża gen. Changarniera za jego twardą rękę w poskramianiu winnych rewolucji lipcowej, Norwid zaś oburzał się na stosowanie terroru.

Stąd żal i gorycz Norwida i zaprawiony piołunem wyrzut „wieszczom", w poemacie „Rzeczywistość i marzenia", gdyż oni:

„ ...zamiast Tobie dać błogosławieństwo,
Przytulić słowem i ogrzać wyznaniem,
Oni ci laurów swych dadzą przekleństwo!
....
O, strzeż się przeto mistrzów tego wieku,
Bo pacholęta bose sto tysięcy
Razy więcej, niż oni, wiedzą o człowieku."

Rozgoryczenie Norwida jest niesłuszne, gdyż Krasiński, mimo że Norwid zwrócił mu jego listy, jak „niewiernej kochance", wspomagał go jeszcze czas jakiś „anonyme" za pośrednictwem osób trzecich, a Mickiewicz, wedle świadectwa samego Norwida, w liście do Bohdana Zaleskiego z jesieni r. 1851, puściwszy w niepamięć ich rzymskie spory „serdecznie mnie uściśnie, jak spotka gdzie..."

Jak wiadomo, Norwid w listopadzie 1852 wyjechał do Londynu, a w miesiąc później, z „jednym Napoleonem w kieszeni", załadował się na żaglowcu, by dostać się do Ameryki.

Lecz i tam szczęście mu nie dopisało. Po dwóch latach powrócił rozczarowany również do nowego świata. Choć Krasiński znów mu pomaga „anonyme", minie trzy lata zanim się spotkają i dawna ich przyjaźń odżyje.

Niemniej, napisany ówcześnie poemat „Quidam", uważany za norwidowskiego „Fausta", tkwi nadal w kręgu ideologii Krasińskiego. Jest to poemat bez intrygi i akcji, aby — jak twierdzi Norwid — węzeł dramatyczny nie przesłonił jego istotnej treści, którą jest tragedia „szarego człowieka" żyjącego jakby bezwiednie i ginącego jakby z przypadku, na bydlęcym targu starożytnego Rzymu. Przy tym Norwid zapragnął, jak Krasiński, być również „poetą ruin", tj. Rzymu, który wchłonąwszy kulturę łacińską i grecką, a w dodatku katolicko-izraelską, chyli się do upadku... Stwierdza to sam Norwid w wierszu „Do Z. Krasińskiego", którym stara się wyjaśnić „Quidama". „Wstyd mi noża" — woła kiedyś Krasiński, a Norwid jakby za nim powtarzał (list do K. Ruprechta z r. 1863): „Ja nie wierzę, aby krew zdobywała przyszłość... Pot czoła — ale nie krew."

Uznanie, a nawet kult dla Krasińskiego Norwid zachowuje już do końca życia. W swych wykładach o Słowackim, w r. 1866 (Lekcja czwarta) zestawia „Anhellego" z „Legendą" Krasińskiego, który — wedle niego — „ponadprzyrodzonych używał środków dla utrzymania historycznego ducha w społeczeństwie bliskim zgminnienia, przez niebyt polityczny." Oba te utwory określa on jako „biuletyny ducha".

Zresztą, niezależnie od zbieżności czy zależności takiego czy innego utworu Norwida i Krasińskiego, ważnym jest, że obaj ci poeci żyją tą samą troską o przyszłość narodu i sprawę Polski, nie wierząc, by uratował ją krwawy przewrót. Ojczyzna bowiem jest — wedle Norwida — „wielkim zbiorowym obowiązkiem". I Norwid przejął wypowiedzianą w „Przedświcie" wiarę Krasińskiego w sprawiedliwość i prawdę, dzięki zwycięstwu Krzyża! Swoją wiarę Norwid wypowiedział w rozprawie „Zmartwychwstanie narodu": „...żeby naród zmartwychwstał, żeby takie społeczeństwo odrodziło się... żeby świat cały przekuł szable na pługi... trzeba, żeby tak przeczyste powietrze nas wszystkich okoliło, w którym jeśliby kto prawdę rzekł, drugi na to musiałby mu odpowiedzieć, za serce chwytając się...: A! prawda!"

Pod wrażeniem śmierci Krasińskiego, w lutym 1859 r., Norwid napisał do gen. Skrzyneckiego: „Wielki to jest szwank postradać szlachetnie różniącego się przyjaciela, w tej epoce zwłaszcza, w której łatwiej może napotkać ludzi zapamiętale się kochających niż umierających szlachetnie i z miłością różnić się..."

I jeszcze w sześć lat później, w liście do Augusta Cieszkowskiego w 1865 r., Norwid pamięta i wspomina, jak to „ ...ś.p. Zygmunt na parę tygodni przed śmiercią przyszedł do mnie i mówił o wszystkim drażliwym co ze mną miał ze łzą w oku, dodając: „Ja cię zawsze kocha..." — i nie dokończył słowa ostatniego..."

KRASIŃSKI — WYSPIAŃSKI

Wyspiański, odmiennie od Norwida, który był młodszym od Krasińskiego o lat 10 i również emigrantem — urodził

się w 20 lat po śmierci autora „Przedświtu“ w Krakowie, gdzie się kształcił i — poza czterema latami studiów w Paryżu — całe życie przemieszkał. Mimo tej odległości epoki i środowiska, Wyspiański jest również ideowym spadkobiercą Krasińskiego.

Czym to tłumaczyć?

Oto z końcem XIX w. swoboda nauczania literatury polskiej istniała tylko w zaborze austriackim. Poza tym w Krakowie wykładali, na uniwersytecie St. Tarnowski, pierwszy monografista Krasińskego, a po gimnazjach — wydawcy i komentatorzy poszczególnych utworów autora „Nieboskiej“. Ponadto, politycznie pozytywny stańczykowski Kraków był romantykiem, zakochanym w przeszłości i tradycji. Dlatego Krasiński, choć w ciągu swojego życia spędził w Krakowie zaledwie jeden dzień przejazdem, u stóp Wawelu był dobrze znany.

Wyspiański wzbogacił zaś ubogie osobiste przeżycia znajomością dziejów Polski oraz własną poetycką wyobraźnią. Obie te właściwości znalazły wyraz w „Legionie“ jego pierwszym znaczniejszym dziele. Utwór ten jest jakby historią sporu Krasińskiego z Mickiewiczem w r. 1848 w Rzymie, tej drugiej ojczyźnie „poety ruin“. Wyspiański ukazuje w „Legionie“ ułudę marzeń Mickiewicza, gdy w symbolicznej scenie, obaliwszy Cezara, wyzwala rewolucyjną Wolność, która zawładnąwszy cezarowym rydwanem — tratuje lud... Poza tym Mickiewicz, wyprowadzając swój legion z Rzymu, głosi: „Ze śmierci ciał się urodzi Duch Słowo — Słowo potęga!“ Do tego hasła powróci Wyspiański w „Wyzwoleniu“. Tymczasem Krasińskiemu w „Legionie“ objawia się „Polska Zmartwychwstała“, w podobnej postaci jak w „Przedświcie“, w koronie z gwiazd, tworząc jakby pendant do wizji Chrystusa na krzyżu w „Nieboskiej“.

Wyspiański podziela również antypowstańczą postawę Krasińskiego, wracając trzykrotnie do historii powstania z 31 roku: w „Warszawiance“, „Lelewelu“ i „Nocy listopadowej“. Warszawianka — Maria, jest polską Kassandrą, wróżącą powstańcom sławę i śmierć. Fanatyzm Lelewela podkopuje władzę X. Czartoryskiego, osłabiając obronę Warszawy. W „Nocy listopadowej“ powstanie wybucha z podszeptu bogów, którzy porzucają walczących na pastwę klęski...

Albowiem, na równi z Krasińskim, Wyspiański nie wierzy w zryw romantyzmu. Poeta z „Wesela“, niczym hr. Henryk z „Nieboskiej“, przybiera poetyczne pozy, lecz nie jest zdolny do czynu. Przeszłość — to też bezpłodny romantyzm... A Gospodarz, to jeden z tragicznego korowodu w „Przedświcie“, w którym „Dawne króle, dawne pany, I rycerze i hetmany“ walczą w jego duszy o dawność, aż staną się w „Wyzwoleniu“ obrazem zmartwiałego społeczeństwa. Czasem przez tekst Wyspiańskiego przewijają się nawet pewne wyrażenia Krasińskiego. W „Przedświcie“ np. Krasiński skarży się: „Jak Dant za życia przeszedłem przez piekło...“ a Wyspiański w dialogu Stańczyka z Dziennikarzem jakby powtarzał za nim: „Piekło wiem gorsze niż Dante, piekło żywe“ — „Żyję w piekle...“

Lecz jak wyjść z tego piekła? Kto zeń wyprowadzi? Chyba polski lud...

Niestety — niedawno lud dał się namówić do zbrodni! Krasiński wierzył, że Polskę może zbawić jedynie „ z polską szachtą — polski lud“ — tym bardziej więc cierpi nad rzezią bratobójczą 1846 roku. Wyspiański też pamięta „krwawe zapusty“ i na weselu „pana z chłopką“ sprowadza Upiora — Szelę. Lecz też chce wierzyć, że lud jest powołany do historycznej roli. Cóż, kiedy jeszcze do niej nie dorósł: Jasiek gubi złoty róg, a w „Wyzwoleniu“ chłopi nie wiedzą co począć z karabelami, które wręcza im szlachta...

I obaj, Krasiński i Wyspiański, grzęzną w pesymizmie, może w pewnym stopniu z powodu choroby, która zżera obu w ostatnich latach ich krótkiego życia. Bronią się jednak wiarą, że jedynym ratunkiem dla Polski być może i być musi praca nad sobą. Krasiński w „Psalmach“ modlił się do Boga: „Daj nam dobrą wolę...“ Wezwanie Wyspiańskiego w „Wyzwoleniu“ brzmi prawie dosłownie: „Wyzwolin ten doczeka się dnia, kto własną wolą wyzwolony...“

W „Legionie“ i „Wyzwoleniu“ Wyspiański potępia Mickiewicza za mesjanizm i wodzostwo „prowadzące naród do grobu“. Albowiem śmierć winna być zadatkiem życia, jak w naturze, gdzie po zimie następuje wiosna. Podobnie jest w prawie Boskim, gdzie Chrystus umiera, aby zmartwychwstać. Krasiński ujął tę prawdę w filozoficzną formułkę „Teorii o Trójcy“, nazywając ją „próbą grobu“. Tę „próbę grobu“ — przebywa zwycięsko w „Nocy listopadowej“ Kora, która, ze słowami: „Umierać musi co ma żyć“ schodzi w podziemie, skąd wraca, by „wielkie wskrzesić syny“ i „dać im wolność“.

Zwycięską „próbę grobu“ przedstawia Wyspiański również w „Akropolis“, tj. w Katedrze Wawelskiej, gdy w scenerii, przypominającej „Legendę“ Krasińskiego, w noc Zmartwychwstania, Chrystus-Salvator spływa z nieba na złocistym rydwanie, by zmiażdżyć srebrną trumnę św. Stanisława, symbol śmierci! Wówczas Dawid-Psalmista intonuje hymn odrodzenia:

I pieśń nad ludem szła nad ziemią,
Nad polską ziemią krwawą,
Nad Akropolis, kędy drzemią
Królowie i ich prawo!

Po odczytaniu utworów Krasińskiego i Wyspiańskiego wydaje się, że dopełniają się one wzajemnie: filozoficzne koncepcje i abstrakcyjne idee Krasińskiego otrzymują kształt i barwę dzięki geniuszowi teatru, Wyspiańskiemu, który tak samo wpatrzony w wielkość Polski jak autor „Przedświtu“, jest na równi z Norwidem jego duchowym spadkobiercą.

* * *

Norwid i Wyspiański podzielili się spadkiem po Krasińskim.

Norwid przyswoił sobie twórczą myśl Krasińskiego i rozwinął ją w „łańcuch pracy“, która jedynie zdolna jest przemienić naród w społeczeństwo, odradzające się zbiorowym wysiłkiem dobrej woli w wolną ojczyznę. Wyspiański, nadając karmazynowej wizji Krasińskiego wyraz matejkowski, chłostał swą współczesność za brak dobrej woli, dostrzegając ją przecież pod koniec życia w akcie Unii Lubelskiej i w odwołaniu się człowieka od wyroku sędziów ziemskich do łaski Najwyższego Sędziego.

Władysław Günther

ANTONI POŚPIESZALSKI

Logika badań naukowych

„Nauka", „naukowość" i przymiotnik „naukowy" to słowa o dużym prestiżu. Dla wielu są one synonimem obiektywnej prawdy, prawdy niewątpliwej i nie podlegającej dyskusji, i co może jeszcze ważniejsze — jedynej. Gdy przeciwnik w polemice potrafi nas przekonać, że reprezentowany przez niego punkt widzenia jest „naukowo udowodniony", nie pozostaje nam nic innego jak schylić głowę i uznać się za pokonanego. Tam, gdzie chodzi o poszukiwanie obiektywnej prawdy, nie ma już wyższej instancji niż nauka. Dlatego prestiżem nauki i naukowości posługują się nie tylko beznamiętni badacze rzeczywistości, którzy może mają do tego prawo, ale i apostołowie wszelkiego rodzaju doktryn filozoficznych, społecznych i politycznych, których prawo do używania tej etykiety może niekiedy budzić wątpliwości. „Naukowy" marksizm jest może najbardziej notorycznym tego przykładem, ale bynajmniej nie jedynym.

Zagadnienie, co jest a co nie jest naukowe, nie stanowi zatem, jak widać, problemu czysto akademickiego. Musi istnieć — albo jeśli nie istnieje obiektywnie, to musi być jednoznacznie wyznaczalna — jakaś granica, linia demarkacyjna między tym, co odpowiada wymogom naukowego obiektywizmu, a tym co nie odpowiada, albo nie odpowiada w pełni. Temu zagadnieniu linii demarkacyjnej między tym co jest nauką, a tym co nią nie jest, poświęcił dzieło swego życia autor omawianej książki. Ukazała się ona po raz pierwszy w Wiedniu w języku niemieckim pod tytułem **„Logik der Forschung"** w roku 1934, a w tym roku w języku angielskim pod tytułem **„The Logic of Scientific Discovery"** *)

Wydanie angielskie jest przekładem autoryzowanym z całym szeregiem nowych przypisów i aneksów pióra samego prof. Poppera, które ilustrują ewolucję jego poglądów w ciągu lat z górą dwudziestu. Ale te nowe przypisy i aneksy dotyczą tylko szczegółów; zasadniczy zrąb logicznej analizy problemu pozostał bez zmiany. I to jest miarą sukcesu młodego prof. Poppera, tego sprzed lat dwudziestu: jego ówczesne rozwiązanie kontrowersyjnego problemu wytrzymało próbę czasu. Mało tego: kto zagląda czasami do pracowni naukowych najwybitniejszych uczonych, ten wie, że sformułowane przez niego zasady logiki naukowo-poznawczej są przez nich, świadomie czy nieświadomie, stosowane jako miara naukowej rzetelności.

Prof. Popper wyszedł ze środowiska tzw. Koła Wiedeńskiego, uczniów Ernesta Macha, którzy za przykładem swojego mistrza próbowali rozwiązać ten sam problem linii demarkacyjnej między nauką opartą na mocnej bazie empirycznej, to jest na doświadczeniu, a resztą, którą określali pogardliwym mianem metafizyki. Zastosowali w tym celu kryterium „znaczenia" słów, stwierdzając że znaczenie mają tylko słowa, które można bezpośrednio lub pośrednio odnieść do danych zmysłowego doświadczenia. Wszystkie inne słowa, to jest słowa pozostające bez wyraźnego związku z naszym doświadczeniem zmysłowym, są pozbawione wszelkiego znaczenia, wszelkiego sensu, są zatem nonsensem. Jak słowa tak i zdania (czyli sądy). Sensowne albo naukowe są tylko takie sądy, które dają się **sprawdzić** w doświadczeniu zmysłowym. Mogą one być prawdziwe albo fałszywe, zależnie od tego czy doświadczenie zmysłowe je potwierdzi lub im zaprzeczy, ale sam fakt, że są one **sprawdzalne** sprawia, że są tym samym sensowne. Sądy, które są niesprawdzalne, których nie można poddać weryfikacji drogą doświadczenia, są w ogóle pozbawione wszelkiego znaczenia — są bezsensowne. Takie sądy nie są naukowe. To metafizyka.

Ta radykalna doktryna, znana pod nazwą logicznego pozytywizmu, narobiła, jak wiadomo, niesamowitego zamieszania, przede wszystkim w filozofii krajów anglo-saskich gdzie po wojnie znaleźli się główni przedstawiciele Koła Wiedeńskiego z Wittgensteinem (w Anglii) i Carnapem (w Ameryce) na czele.

Popper, choć wyszedł z Koła Wiedeńskiego, poszedł zupełnie inną drogą. Zauważył przede wszystkim, że przyjęte przez logicznych pozytywistów kryterium weryfikacji sądów równa się wyrzuceniu dziecka z kąpielą. Bo takie kryterium naukowości (co więcej, kryterium sensu) wraz z wszelką metafizyką wyrzuca za burtę sądy par excellence naukowe, mianowicie wszelkie **sądy ogólne formułujące prawa naukowe**. Popper wystąpił z paradoksalną na pozór tezą, że tak charakterystyczne dla wszelkiej nauki teoretycznej, a przede wszystkim dla fizyki, sądy ogólne, czyli powszechnie obowiązujące prawa, nie dadzą się logicznie zweryfikować. Takiego prawa, jak np. prawo powszechnego ciążenia, nie da się nigdy sprawdzić tak, by już absolutnie nie ulegało wątpliwości. Łączy się to z problemem tzw. logicznej indukcji (w przeciwieństwie do dedukcji).

Zwolennicy logiki indukcyjnej wyobrażają sobie, że do sformułowania prawa naukowego dochodzi się przez zaobserwowanie większej ilości konkretnych wypadków, dajmy na to że kruki są czarne, które potem, razem wzięte, pozwalają nam na wyciągnięcie z nich wniosku ogólnego —wszystkie kruki są czarne. To prawo wtedy — pod warunkiem, że nie odkryje się konkretnego wypadku, w którym ono się nie sprawdza — jest wówczas logicznie wystarczająco udowodnione czyli zweryfikowane. Ale tak oczywiście nie jest. W ogromie wszechświata nigdy nie możemy być pewni, czy po długiej serii konkretnych wypadków potwierdzających prawo nie znajdzie się jeden lub więcej takich, które zaprzeczą. Czy nie znajdziemy, dajmy na to, białego kruka? Wszystkie sądy ogólne nauki, wszystkie prawa naukowe, nawet prawa fizyki mają tę samą formę logiczną co sąd ogólny, że wszystkie kruki są czarne. Wobec tego nawet dowolnie wielka liczba doświadczeń dających wynik pozytywny nie może nigdy znaczyć, że prawo zostało ostatecznie zweryfikowane. Logiczni pozytywiści w myśl swojego kryterium naukowości i sensu musieliby wszystkie ogólne prawa naukowe uznać za nienaukowe — i bezsensowne.

Zasada logicznej indukcji jest nie do utrzymania. Ale gdzie zatem jest linia demarkacyjna oddzielająca sądy naukowo uzasadnione od nieuzasadnionych — jak mówią pozytywiści: od metafizyki? Popper wbrew zwolennikom logiki indukcyjnej twierdzi, że myślenie naukowe idzie nie od konkretnego doświadczenia (czy konkretnych doświadczeń) do ogólnego prawa czy teorii, ale odwrotnie: od teorii do konkretnych sądów jednostkowych. Myślenie naukowe jest nie indukcyjne a dedukcyjne. Uczony, z chwilą gdy zaczyna się naukowe myślenie, **najpierw** ryzykuje jakiś sąd ogólny, jakąś hipotezę (dajmy na to, że wszystkie kruki są czarne), a dopiero z nich drogą dedukcji wyciąga wnioski jednostkowe (np. że kruki w londyńskim ogrodzie zoologicznym też muszą być czarne). Ten sąd jednostkowy da się doświadczalnie sprawdzić. Ale czy można sprawdzić sąd ogólny, hipotezę, teorię naukową? Z Popperowskiej krytyki logiki indukcyjnej wynika, że nie. Nigdy nie jesteśmy w stanie wykazać logicznie prawdziwość teorii naukowej.

---

*) Karl Popper: **The Logic of Scientific Discovery**, 1959, Hutchinson.

Możemy natomiast wykazać **fałszywość** teorii — przez doświadczenie. Odkrycie jednego białego kruka bezapelacyjnie wykazuje fałszywość teorii, że wszystkie kruki są czarne.

I tu dostrzegamy linię demarkacyjną między nauką a nie-nauką. Naukowe są takie sądy ogólne (hipotezy, teorie), które ryzykują, że doświadczenie wykaże ich fałszywość. Żadna ilość doświadczeń dających wynik pozytywny nie stanowi ostatecznej weryfikacji teorii; za to jeden wynik negatywny wystarcza, by wykazać fałszywość teorii. Dlatego z logicznego punktu widzenia ważne jest nie tyle to, co teoria pozytywnie stwierdza, jak to, czego definitywnie zakazuje, co definitywnie wyłącza. A właśnie charakterystyczną cechą ogólnych sądów naukowych, czyli praw naukowych, jest to, że można je sformułować negatywnie: jako prawa stwierdzające, że pewne rzeczy **nie** mogą się stać. Zdanie „wszystkie kruki są czarne“ w negatywnym sformułowaniu stwierdza, że nie ma kruków innego koloru. „Wszystkie metale pod wpływem ciepła się rozszerzają“ znaczy: „nie ma takiego metalu, który by się pod wpływem ciepła nie rozszerzał“. Jeżeli stwierdzimy, że coś, co teoria wyłącza, mimo to się zdarza — jeśli znajdziemy nie-czarnego kruka albo metal, który pod wpływem ciepła się nie rozszerza, to znaczy, że teoria jest fałszywa. Oba podane tu sądy ogólne są naukowe i uznajemy je za prawdziwe nie dlatego, że znajdują potwierdzenie w niezliczonych konkretnych przykładach, ale dlatego, że istnieje logiczna możliwość wykazania ich **fałszywości** — co się dotychczas nie stało.

To kryterium naukowości — kryterium fałszywości sądów ogólnych (jeśli tak można powiedzieć) — odnosi się rzecz jasna, tylko do nauk empirycznych, nie zaś do nauk analitycznych, jak matematyka czy sama logika. Spośród nauk empirycznych odnosi się tylko do nauk teoretycznych, to znaczy takich, które formułują pewne ogólne prawa, jak fizyka i w ogóle nauki przyrodnicze, nie zaś do nauk wypowiadających zasadniczo sądy jednostkowe, jak historia.**) Ale spośród nauk humanistycznych odnosi się również do takich nauk jak socjologia czy ekonomia, bo są to nauki formujące pewne prawa ogólne, czyli teorie. Ale w ramach nauk empirycznych kryterium Poppera niewątpliwie zacieśnia zakres tego, co — często bezkrytycznie — zwykliśmy darzyć prestiżowym przymiotnikiem „naukowy“. Ofiarą pada np. teoria ewolucji. Teoria Darwina, nawet w swej zmodyfikowanej nowoczesnej formie, nie jest teorią naukową dla tego prostego powodu że nie potrafi zaproponować ani jednego doświadczenia, które — w razie gdyby jego wynik okazał się negatywny — mogłoby teorię obalić. Teoria ewolucji **nie ryzykuje**, że jakieś krytyczne doświadczenie wykaże jej fałszywość. Natomiast np. szczegółowa teoria względności Einsteina ryzykowała swoje istnienie, gdyż z teorii wynikało m.in., że promień świetlny z odległej gwiazdy, przechodząc w pobliżu masywnego ciała jakim jest słońce, powinien ulec zakrzywieniu. Gdyby się okazało, że promień nie ulegnie zakrzywieniu, teoria Einsteina okazałaby się tym samym fałszywa. Ale, jak wiadomo, obserwacje poczynione w czasie zaćmienia słońca w r 1919 wykazały, że nieprawdopodobna przepowiednia wynikająca z teorii Einsteina była słuszna: promień światła przechodząc obok masywnego ciała istotnie ulega zakrzywieniu. Nie znaczy to oczywiście, by teoria Einsteina została ostatecznie sprawdzona; to — jak nam ciągle prof. Popper powtarza — jest logicznie niemożliwe. Ale przeszła ogniową próbę: mogła być obalona, a jednak dotychczas nie została obalona. I dlatego jest teorią naukową.

Teoria ewolucji nie jest naukowa, bo nie może być obalona. Nie jest to winą Darwina czy dzisiejszych ewolucjonistów; powody tego stanu rzeczy nie są psychologiczne, odpowiedzialny nie jest brak naukowej ścisłości z ich strony. Są to powody natury logicznej, implicite zawarte w twierdzeniach teorii. Nienaruszalność, a tym samym nienaukowość teorii ewolucji leży w tym, że nie jest ona ogólnym prawem, które można poddać doświadczeniu w dowolnej ilości konkretnych wypadków, ale uogólnieniem jednorazowego historycznego procesu, który się jeszcze nie skończył, a którego dalszego przebiegu — właśnie dlatego, że jest to proces jednorazowy — nie da się przewidzieć.

Jest bardzo wiele teorii, które roszczą sobie pretensje, że doświadczenie codziennego życia wielokrotnie je potwierdza: powiedzmy teoria Freuda albo marksizm, albo zasada determinizmu czy indeterminizmu. Można powiedzieć, że im więcej takich potwierdzeń, tym mniej teoria jest naukowa. By mogły one być uznane za naukowe, trzeba, by wynikało z nich choćby jedno stwierdzenie, które mogłoby się **nie** sprawdzić. Twierdzenia, które nic nie ryzykują, nie są naukowe. To są twierdzenia metafizyczne.

I tu, na zakończenie, bardzo ważna uwaga. Linia demarkacyjna między nauką a metafizyką nie oznacza, by to co jest nauką było wartościowe, a to co jest metafizyką bezwartościowe. Zapomnijmy o prestiżowym wydźwięku słowa „nauka“. Metafizyka ma swój własny prestiż, tylko inny. Nawet naukowe myślenie nie jest możliwe bez pomocy metafizyki. U podstaw nauki leżą pewne metafizyczne założenia, założenia, których nie da się naukowo uzasadnić, jak choćby przeświadczenie o istnieniu w przyrodzie pewnego ładu, przeświadczenie o niezmienności praw przyrody. Każda hipoteza naukowa, według Poppera, to nie uogólnienie przeprowadzone na podstawie obserwacji drogą logicznej indukcji, ale śmiały rzut myśli, skok wiedzionej intuicją wyobraźni. Dopiero potem następuje drugie stadium naukowego myślenia, krytycznego konfrontowania hipotezy z danymi obserwacji. Teoria ewolucji, choć nie jest teorią naukową, a właśnie (w sensie popperowskim) „metafizyczną“, jest niemniej genialnym spojrzeniem na całość dziejów żywego kosmosu. Nie możemy żyć samą nauką; nauka nie wyczerpuje nawet całości życia myśli i nie ma na przykład nic do powiedzenia o problemach natury moralnej; sens istnienia, przeznaczenie człowieka będą zawsze należały do dziedziny nie nauki, a metafizyki — i religii. Religii bynajmniej nie ubliża to, że nie jest naukową. Celem przedsięwzięcia prof. Poppera było wyjaśnienie logicznej konstrukcji działalności zwanej naukową — przede wszystkim w dziedzinie nauk teoretycznych i empirycznych. Tym samym wyznaczył nauce ścisłe granice. To co się znalazło za tą linią demarkacyjną, a ma formę sądów ogólnych o otaczającej nas rzeczywistości, może być mądre albo głupie, może być pospolitym truizmem lub wzniosłym wyznaniem wiary, możemy do tego odnosić się z pogardą albo z uwielbieniem. Chodzi tylko o to, by tego nie nazywać nauką w tym samym rozumieniu, w jakim nauką nazywamy np. fizykę.

A. Pospieszalski

**) Prof. Popper pod pojęciem nauki rozumie tylko to, co w angielskim określa się mianem „science“; w języku polskim są to „nauki ścisłe“ albo „nauki przyrodnicze“. Nie znaczy to jednak, by Popper kwestionował obiektywną wartość nauk humanistycznych, jak np. historia. Z pewnymi zastrzeżeniami jego logiczna struktura naukowości stosuje się również do historii. Różnica między naukami przyrodniczymi a historycznymi polega głównie na tym, że w naukach przyrodniczych nacisk spoczywa na sądach ogólnych, podczas gdy historyką interesują przede wszystkim sądy jednostkowe. Por. w tej sprawie tegoż autora „The Poverty of Historicism“, London, 1957. (Termin „historicism“ w tytule ma specyficzne znaczenie i książka nie jest — jakby się mogło wydawać — atakiem na naukowość historii.).

KONFERENCJA M.I.I.C.

„WIARA W ŚWIECIE NAUKI I TECHNIKI"*)

Zjazdy międzynarodowe, zwłaszcza okresowo odbywane, mają swoją celową technikę, z czasem przechodząc w rutynę, mają stałych uczestników, by nie napisać bywalców, oraz tę swoistą aurę, jaką wytwarza spotkanie się wielu ludzi z rozmaitych krajów i części świata w atmosferze wspólnych zainteresowań. Dotyczy to zwłaszcza zjazdów katolickich na tym poziomie co konferencje plenarne ruchu Pax Romana, mające urok dodatkowy, płynący z atmosfery intelektualnej w mocnych ramach ustalonego światopoglądu i liturgii.

Zwołanie XIII Konferencji Plenarnej M.I.I.C. (26 — 30. 7. 1959) do Belgii**) zapewniło jej uczestnictwo wielkich delegacji, belgijskiej, francuskiej, holenderskiej, włoskiej i angielskiej, i w pewnej mierze przesądziło o głównym języku obrad, którym był francuski, mimo że cały przebieg zebrań plenarnych tłumaczono na angielski, holenderski (flamandzki) i niemiecki. Prawie we wszystkich delegacjach było wielu ludzi mówiących po francusku, a wśród młodych delegatów z Newman Association było ich niespodziewanie wielu. (Ta ostatnia uwaga jest przeznaczona szczególnie dla naszych młodych studiujących w Anglii i uważających, że znajomość języka angielskiego wystarczy).

Miejscem obrad był stary zamek Arenbergów w Héverlé, przedmieściu Louvain, otoczony wspaniałym parkiem.

Temat konferencji, który po francusku brzmiał: „L'acceuil de la foi dans un monde scientifique et technique", dałby się wyrazić po polsku raczej jako „Życie z wiary w świecie nauki i techniki". Uderzał on aktualnością i istotnym związkiem z podstawowymi zadaniami ruchu katolików z wyższym wykształceniem, mających nie tylko pogłębiać własną kulturę katolicką, ale też świadomie działać na otoczenie w swym środowisku zawodowym. To działanie bowiem stanowi jeden z problemów sumienia każdego członka Pax Romana. Przygotowaniem do konferencji była rozesłana na wiele miesięcy przed nią ankieta, o czym obszerniej mówi druga część sprawozdania.

Uczestnicy (140 z 20 narodów) pochodzili przeważnie z krajów europejskich, spoza Europy były reprezentowane tylko: Indie, Filipiny, Kolumbia, Peru i Stany Zjednoczone.

Licznie przybyli księża związani z ruchem, a więc aystenci grup krajowych Pax Romana i sekretariatów zawodowych oraz przedstawiciele nauki w sutannach. Bieliły się habity dominikańskie, wśród nich obecnego asystenta ruchu, o. Jana Kaelin, O.P. Wiele werwy wnosił do obrad dawny asystent ruchu, popularny msgr Guano z Rzymu oraz wybitny paleontolog francuski ks. Lavocat. Związani z pracami Pax Romana

---

*) Temat XIII Konferencji Plenarnej Seniorackiej gałęzi Pax Romana.

**) Sprawozdanie z tej konferencji zamieszczamy mimo opóźnienia ze względu na aktualność tematyki. Red.

A. J. ONYSZKIEWICZ

PAX ROMANA W LOUVAIN

młodzi księża amerykańscy, studiujący w Europie, wykazywali duże zainteresowanie sprawami tej części świata i znajomość języków niemieckiego i francuskiego. Było też kilka zakonnic, z Belgii, Luksemburga i Kolumbii.

Udział kobiet w konferencjach i pracach Pax Romana jest coraz większy. Wszędzie wnoszą one obok wartości intelektualnych wiele entuzjazmu, pomysłowości w metodach apostolstwa i czynnej miłości bliźniego.

Najliczniejszą delegacją była oczywiście belgijska, a po niej szły: angielska, złożona z członków Newman Association, potem francuska, składająca się zarówno z przedstawicieli organizacji paryskich, jak i z prowincji, szczególnie wschodnich. Najbardziej zwartą grupę tworzyli Włosi, wśród których byli weterani Ruchu i ludzie młodzi ze sfer naukowych i technicznych. Zaciekawienie budziła delegacja szwedzka, złożona z dwu młodych pań, portugalska z panną Manuelą de Silva i kolumbijska z młodym kapłanem-ekonomistą, ks. Vega. Tych dwoje pracujących w jednej komisji a także Hindus Hubert Monteiro — wnosili tyle zapału i głębokiego przekonania oraz tyle wyrobienia osobistego i dyscypliny intelektualnej, iż dzięki nim obecność Indii, Portugalii i Kolumbii zaznaczyły się specjalnie na konferencji. Francuzi wnosili wiele polotu myśli, dawali doskonałe sformułowania i tę galicką przejrzystość myśli, którą można odnaleźć w konkluzjach z konferencji. Spora była delegacja ukraińska członków „Obnowy" z Niemiec i Francji, jedyna słowiańska, poza naszą reprezentacją.

Prezes Sugranyes imponował hiszpańską fantazją i szybkością orientacji, opanowaniem tematu i języka francuskiego, a sekretarz generalny Tom Kerstiens sprawnie dyrygował sekretariatem i jego pracami oraz zapewniał anglosaskie powiązania z delegatami tej grupy językowej.

Polskę reprezentowała delegacja Polskiego Katolickiego Stowarzyszenia Uniwersyteckiego „Veritas" z Londynu (należącego do Ruchu Pax Romana prawie od powstania jako federacja i jego polska gałąź) w osobach prezesa Zarządu Centralnego, St. Pieniążka, sekretarza gen. L. Czosnowskiego i podpisanego jako członka Zarządu Centralnego. Ponadto udział wzięli: prof. Jerzy Kłoczowski z K.U.L.-u, bawiący na studiach w Louvain oraz St. Lazar, asystent K.L.U., uzupełniający studia na Uniwersytecie Katolickim w Nijmegen, w Holandii, obaj historycy. Oficjalnie z Polski nikt nie przybył.

Właściwą konferencję poprzedziło zebranie Rady M.I.I.C., poświęcone sprawom organizacyjnym, sprawozdaniom władz, programowi prac na lata 1959 — 1961, sprawozdaniom sekretariatów zawodowych, nowym kandydatom do Rady i sprawom finansowym.

Uroczyste otwarcie konferencji odbyło się w niedzielę 26 lipca przed południem. Powitalne przemówienia wygłosili ks. kan. J. Leclerq — prezes i senator, M. V. Leemans — wiceprezes belgijskiej gałęzi seniorów Pax Romana, po czym prezes R. Sugranyes de Franch, prof. uniwersytetu we Fryburgu szwajcarskim, wprowadził obecnych w temat konferencji, ukazując jego palącą aktualność. Otwarcie zaszczycił swym przybyciem ks. biskup H. van Waeyenbergh, rektor Uniwersytetu Katolickiego w Louvain.

„Sympozjon" przedstawił zagadnienie przenikania wiary w zawodowe środowiska intelektualne. Mówili: Belg, adwokat i publicysta, Niemiec, farmaceuta, Hindus, chemik, Włoch, wybitny inżynier komunikacyjny, Polak, prof. Kłoczowski, historyk i Francuz, artysta-architekt.

Nie przeładowany program obrad przewidywał 4 dni pracy, przedzielone wolnym wtorkiem na zwiedzanie miasta i portu Antwerpii oraz na wizytę w Malines, siedzibie Prymasa Belgii. Każdy dzień zaczynano Mszą św. recytowaną w kaplicach domów akademickich, gdzie mieszkali delegaci i delegatki. Kończono dzień kompletą lub różańcem, odmawianymi jednego dnia w wiejskim kościółku, innego na dziedzińcu zamkowym w Héverlé, to znowu na statku na Skaldzie.

Wygłoszono trzy referaty; nie były one dyskutowane. Pierwszy z nich na temat „Technika i religia", referat ks. kan. A. Dondeyne, prof. uniwersytetu w Louvain, był wzorem oszczędnej w słowach ścisłości i szerokości poglądów chrześcijańskich. Wybitny szwajcarski biolog (i niezły teolog — sic!) prof. J. Kaelin z Fryburga szwajcarskiego mówił po niemiecku na temat „Biologia w polu napięć myślenia światopoglądowe-

go". Prelekcja była długa i pełna zawiłej nieraz terminologii, ale ma ona zasadnicze znaczenie w dialogu religia — nauka. Ostatnia z prelekcji, wygłoszona przez młodego profesora fizyki teoretycznej w Paryżu, P. Costa de Beauregard, pt. „Zagadnienia wiary naukowca", była najkrótsza i może najbardziej przebojowa, bo stawiała wymagania ze strony badaczy z zakresu nauk ścisłych i przyrodniczych pod adresem teologów.

Komisji było trzy: naukowa i dwie zawodowe w grupach językowych: francusko-hiszpańskiej i angielsko-niemieckiej. Podstawą pracy dwu ostatnich był wynik ankiety. Zainteresowanych sprawami apostolstwa świeckich uderza fakt, iż metody, jakich się szuka dla działania wśród intelektualistów, by pogłębić ich znajomość zasad wiary i kultury religijnej, są podobne do używanych na terenie działania bardziej ogólnym w Akcji Katolickiej.

Ostatnia seria plenarna obejmowała sprawy organizacyjne i finansowe, które dzięki energii i zabiegom nowego sekretarza, T. Kerstiensa, doznały znacznej poprawy. Dłuższą wymianę zdań wywołały formy współpracy z UNESCO i możliwości uzyskiwania pomocy w studiach dla naukowców z krajów mających trudności gospodarcze i dla uchodźców.

Na zakończenie Zjazdu Mszę św. odprawił nuncjusz apostolski, ks. arcybiskup E. Forni. Mszę św. obrządku słowiańskiego celebrował ks. mitrat Deridon z Brukseli w asyście dwu księży, Belga i Holendra, oraz ks. dr. Hryniocha, Ukraińca z Monachium, członka Rady Pax Romana. Śpiewał chór Flamandów pod kierunkiem młodego kapłana Ukraińca z Belgii. Odprawiono nabożeństwo za duszę śp. R. Pompe, zmarłego w młodym wieku działacza gałęzi studenckiej Pax Romana, syna byłego prezesa gałęzi seniorów, prof. W. Pompe.

A. J. Onyszkiewicz

TADEUSZ FELSZTYN

OFENSYWA KATOLIKÓW

Konferencja w Lowanium poświęcona była zagadnieniu życia z wiary w świecie nauki i techniki. Zagadnienie to więc rozdziela się z istoty rzeczy na dwa problemy główne: życie wewnętrzne i życie w środowisku zewnętrznym. W życiu wewnętrznym zmiany w światopoglądzie współczesnego człowieka wywołane przez rozwój nauki powodują ostry nieraz konflikt wewnętrzny między dwoma pozornie przeciwnymi sposobami ujmowania rzeczywistości, „naukowym" i religijnym. W życiu społecznym zaś tendencje wypierania Boga z życia i zastępowania Go techniką stanowią nową trudność dla katolickich naukowców i technologów. Równocześnie jednak nakładają na nich obowiązek apostolatu.

Działalność zewnętrzna zależy od życia wewnętrznego. Kto nie jest w zgodzie z samym sobą, nie może oddziaływać na zewnątrz. Nie dziw więc, że — choć rozesłana ankieta kładła główny nacisk na problem życia społecznego — zagadnienia wewnętrzne skupiły na sobie dużo uwagi konferencji.

Ankieta dzieliła się na cztery części. Część pierwsza, która uzyskała najwięcej i najbardziej wyczerpujących odpowiedzi, poświęcona była zebraniu faktów. Chodziło w niej w pierwszym rzędzie o ustalenie **stopnia udziału katolików** we współczesnej nauce i technologii. W niektórych krajach, nawet w tak wysoko technicznie stojących, jak Stany Zjednoczone i Anglia, udział katolików w życiu naukowym i technicznym jest wciąż jeszcze niedostateczny, na skutek bądź względów społecznych (w Anglii np. większość katolików rekrutuje się ze sfer niezamożnych), bądź też wciąż jeszcze panującego uprzedzenia, że nauki przyrodnicze stanowią „niebezpieczeństwo dla wiary". Jedynie z Wietnamu przyszła odpowiedź, że wiara chrześcijańska dzięki jej szacunkowi dla ciała człowieka (w przeciwieństwie do religii Wschodu) stanowi bardzo dodatni czynnik w rozszerzaniu zachodnich zasad higieny i technologii, podnosząc poziom życia i zwiększając dobrobyt ludności.

Zainteresowanie zagadnieniami filozoficznymi i religijnymi wśród katolickich naukowców, a zwłaszcza technologów, jest na ogół niedostateczne. Przyczyny tkwią nie tylko w braku czasu, wobec konieczności pogłębiania szybko rozwijającej się wiedzy w zakresie własnej specjalizacji, ale i w zbytniej specjalizacji, tej powszechnej chorobie naszego życia współczesnego. Specjalizacja zabija zdolność do syntezy i szerokiego spojrzenia. Ponadto, jak to słusznie stwierdza odpowiedź włoska, „umysłowość techniczna" uważa ujarzmienie sił przyrody na korzyść człowieka za najwyższy wyczyn a wszystko, co człowieka pracującego w tej dziedzinie odrywa od tego głównego zadania — jest według niej swojego rodzaju „grzechem". Brak znajomości podstawowych elementów filozofii i zasad wiary powoduje, że wtórne lub mylnie rozumiane aspekty „umysłowości religijnej", odstręczają naukowców i technologów.

We wszystkich niemal krajach reprezentowanych w „Pax Romana" rozwija się silny ruch w kierunku pogłębiania wiedzy religijnej i jej koniecznej podstawy — filozofii. Mimo sukcesów jest on wciąż w postawie defensywnej w stosunku do silnych prądów umysłowych współczesnych, jak materializm i neo-pozytywizm.

Druga część ankiety, dotyczyła formacji intelektualnej. Odpowiedzi na jej pytania były mniej wyczerpujące i sprowadzały się głównie do wymienienia wciąż jeszcze zbyt skąpej działalności wydawniczej na polu znalezienia czegoś w rodzaju nie tyle może nawet syntezy, co symbiozy myślenia przyrodniczego i myślenia religijnego.

Trzecia część ankiety poświęcona była zagadnieniom wychowania i życia religijnego naukowców i techników katolickich. O ile ich osobiste życie religijne nie budzi żadnych zastrzeżeń, nawet w tak trudnym dla każdego intelektualisty posłuszeństwie wskazaniom hierarchii (największe opory spotyka się we Francji i w niektórych kołach w Stanach Zjednoczonych), o tyle nieomal wszystkie odpowiedzi wskazują na wadliwość nauczania religijnego w szkołach i w parafiach. Nauczanie to, zbyt tradycyjne, nie uwzględnia należycie sposobu myślenia współczesnego człowieka, nie umie dostosować się do niego i uzbroić go w dostatecznie mocną tarczę przeciw zakusom wrogów wiary, którzy przemawiają doń językiem epoki technicznej. W wielu parafiach naukowiec, a nawet i technolog, są traktowani nieomal jako „trędowaci", tak że udział ich w życiu parafii wymaga od nich dużej dozy pokory — szczególnie — dodajmy od siebie — trudnej dla intelektualisty.

Przeciwdziałają tym bolączkom w niektórych krajach grupy apostolatu religijnego wśród intelektualistów katolickich, w szczególności w Indiach, Francji i Włoszech. Przykładem takiej akcji jest praca zespołu kapelanów uniwersyteckich w Anglii, którzy w ciągu zaledwie kilku lat podnieśli intelektualne życie religijne studentów na wielu uniwersytetach angielskich.

Odpowiedzi na część czwartą ankiety pytającą o apostolat naukowców i techników katolickich w otoczeniu nie-katolickim, zawierają raczej ogólniki i postulaty niż dane konkretne. Dowiadujemy się z nich więcej o indywidualnym działaniu poszczególnych osób w ramach akcji o charakterze społecznym, niż o jakiejś zorganizowanej akcji na gruncie właściwym życiu zawodowemu poszczególnych osób. Wynika to być może ze wskazanej wyżej postawy defensywnej w stosunku do nacisków świata niekatolickiego. Nie wszędzie dotarło wezwanie Panieża Piusa XII, skierowane do XXIV kongresu światowego Pax Romana: „Niech wasza kultura religijna będzie proporcjonalna do waszych wiadomości świeckich, a wasze miłosierdzie niech będzie zawsze na usługi potrzeb waszych braci".

Zagadnieniu stosunku wiedzy do wiary poświęcone były na konferencji dwa referaty. Naukowiec katolicki napotyka na dwie trudności: jedną z nich jest nacisk neo-pozytywizmu na myślenie naukowe, druga — to stosunek niektórych teologów do problemów nauki. To ostatnie zagadnienie omawiał Costa de Beauregard. Jakkolwiek referent wspomniał o „obskurantyźmie" scjentyzmu, który „w swej pysze aroguje sobie prawo zaprzeczania wartości wszystkiemu, co leży poza jego obszarem", to jednak zaznaczył i to z celową przesadą, że „trudności wiary naukowca zaczynają się z chwilą, gdy spotyka się z teologiem". Zarzuca teologom brak zrozumienia wyników współczesnej nauki i epistemologii, a nawet chęć rozstrzygania z punktu widzenia teologii problemów czysto naukowych. Żąda, aby współcześni teolodzy zdobyli się na wysiłek św. Tomasza z Akwinu i starali się zaktualizować swe nauki włączając w nie osiągnięcia współczesnej myśli ludzkiej. Prawda dana jest ne varietur zarówno w Piśmie Świętym, jak i we wszechświecie. A obie te wielkie księgi są dziełem jednego i tego samego Autora. Tak więc, jak naukowcy usiłują się coraz lepiej wgłę-

biać w tajniki księgi wszechświata, tak i teolodzy muszą bardziej intensywnie szukać prawdy w Piśmie Świętym. Choć prawda ta jest wiecznie ta sama, objawia się jednak oczom ludzkim w coraz nowym aspekcie.

Naciskiem neo-pozytywizmu na światopogląd naukowy zajął się prof. Kaelin O.P., w swym ciekawym, choć ciężkim referacie. Biorąc za podstawę biologię, gdzie ten nacisk jest szczególnie widoczny (podobnie zresztą — dodajmy od siebie — jak i w kosmologii), wykazuje on, jak wiele rzekomych „prawd naukowych" w tej dziedzinie jest wynikiem nie faktów, ale założeń pozytywistycznych. Śmiała próba postawy ofensywnej, aby oczyścić naukę z hipotez niedostatecznie opartych na faktach, jest godna podkreślenia. Jakkolwiek fizyka atomowa usunęła wiek mechanistyczny z nauki, tym niemniej wciąż jeszcze panuje wśród wielu naukowców pochodzący z tamtego czasu przesąd, że wymyślenie modelu, który — przy pomocy dużej ilości zupełnie dowolnych przypuszczeń — ilustruje jakieś zjawisko, jest równoznaczne z „wyjaśnieniem" samego zjawiska.

Oba referaty wywarły duży wpływ na wnioski pierwszej komisji. Podkreślając konieczność lepszej znajomości współczesnego sposobu myślenia naukowego i większego szacunku dla wiedzy przyrodniczej i jej metod ze strony teologów, żądają one również głębszej znajomości teologii ze strony naukowców. Zmiana poglądu człowieka na świat, wywołana przez rozwój nauk przyrodniczych, musi wywrzeć wpływ i na myśl teologiczną. Nie chodzi tu o stworzenie „syntezy", ale o wypracowanie poglądu, który by brał obie te drogi podejścia pod uwagę, nie zatracając odrębnych ich właściwości.

Działalność naukowa ma znaczenie religijne. Stworzony na obraz Boży człowiek odzwierciadla na swym poziomie przez swą działalność naukową, Boży akt stwórczy. — Rezolucja podkreśla znaczenie popularyzacji nauki w świecie współczesnym i konieczność owiania jej chrześcijańską wizją świata.

Referat ks. kan. Dondeyne'a poświęcony był stosunkowi naukowca i technologa do wiary. Postęp techniki niewątpliwie wyzwala człowieka z więzów przyrody. Wyzwala go z konieczności wyczerpującej walki o byt, daje mu możność poświęcania więcej czasu życiu duchowemu. Zmienił się stosunek człowieka do pracy: Nie jest ona już więcej losem niewolnika lub karą Bożą, a staje się wyrazem samej istoty natury ludzkiej (tę samą myśl — dodajmy od siebie — szeroko rozwija książka kard. Wyszyńskiego „Duch pracy ludzkiej"). Ze strony materialistów wysuwa się często mylny argument, że w ten sposób człowiek został wyzwolony i od Boga, gdyż sam jest obecnie twórcą własnego losu i nie potrzebuje pomocy z zewnątrz.

Technika wyzwala człowieka z bezwzględnej zależności od przyrody, nie wyzwala go ona jednak z zależności od drugiego człowieka i sama przez się nie wyzwala człowieczeństwa. Co więcej, postęp techniczny może zabić w człowieku pęd twórczy i uczynić go tylko kółkiem w maszynie, bezwolnym wykonawcą cudzej woli, niewolnikiem maszyny, jaką stworzył. Zamiast wyzwolić, może zabić człowieczeństwo. Wynik zależy od życia społecznego i od ducha, który je ożywia. Technika jest dziełem człowieka, będzie więc dla człowieka tym, czym człowiek sam ją uczyni. Myśl katolicka musi ożywić technikę i uczynić ją narzędziem dla wyzwolenia duszy ludzkiej aby mogła skierować się ku tajemnicom Bożym.

Aby cel ten osiągnąć, jak to podkreślają wnioski drugiej komisji, katolicy muszą uświadomić sobie specyficzne problemy, związane z epoką technologiczną, w której żyjemy. Konieczne jest uwzględnienie tego problemu w katolickim nauczaniu, w teologii i filozofii. W szczególności istniejące w wielu krajach stowarzyszenia intelektualistów katolickich powinny zająć się tym zagadnieniem, starając się wytworzyć wspólny pogląd u swych członków. Jest to szczególnie ważne w krajach dotąd technicznie upośledzonych. Jedynie w krajach za żelazną kurtyną katoliccy intelektualiści muszą być niestety zdani tylko na osobiste wysiłki.

Rezolucja komisji trzeciej zajmuje się głównie zagadnieniem apostolatu naukowców i technologów. Ponieważ jednak każdy apostolat musi się rozpocząć od samego siebie, więc na wstępie rezolucja mówi o sposobie wychowania religijnego osób, poświęcających się zawodowi naukowemu lub technicznemu.

Świat techniczny reaguje bardziej na fakty niż na słowa. Pierwszym krokiem apostolatu musi więc być przykład osobisty. Następnie, zorganizowana działalność katolików w łonie pewnego zawodu jest dla ludzi obojętnych wierze dowodem, że religia nie stoi w sprzeczności z nauką, czy techniką. A czynny udział katolików w życiu zawodowym i na terenie organizacji zawodowych i naukowych, powiększając ich prestiż osobisty, powiększa również i prestiż wiary.

Konieczna jest także i działalność społeczna w celu humanizacji życia technicznego.

Dalszym obowiązkiem jest apostolat intelektualny, wyrażający posłannictwo chrześcijańskie w słowach i metodach dostosowanych do danego zawodu. Aby to uczynić, trzeba połączyć wiedzę fachową z równie głęboką wiedzą religijną.

Wnioski końcowe, będące syntezą wniosków poszczególnych komisyj, podkreślają całkowity brak sprzeczności między wiarą i poszukiwaniami naukowymi. Na skutek błędów przeszłości, życie z wiary napotyka dziś na duże trudności. Aby usunąć nagromadzone nieporozumienia, konieczna jest ścisła współpraca naukowców i teologów, co wymaga przygotowanych teologicznie naukowców i teologów dobrze rozumiejących problemy i sposób myślenia współczesnej nauki. Naukowcy i technolodzy nie mogą się zamykać w wieży z kości słoniowej, lecz muszą wyjść na zewnątrz, głosząc prawdę wiary w pierwszym rzędzie jako jej świadkowie, jako świadczący własnym osobistym życiem. Muszą wywierać wpływ na to, aby postępy techniki służyły uwolnieniu, a nie ujarzmieniu człowieka.

Niezwykle szybki postęp nauki i techniki wywołał przewrót w życiu materialnym i umysłowym człowieka. Tempo rewolucji technicznej jest tak szybkie, że umysł ludzki nie ma po prostu czasu, aby się do niej dostosować. Jak w każdym kataklizmie, wyłaniają się siły wrogie, które dążą do pozbawienia człowieka wolności już nie tylko jako członka społeczeństwa, ale również i wolności duchowej, aby go oderwać od celu naturalnego, od Boga.

Obowiązkiem każdego chrześcijanina jest walka z siłami zła i dążenie, aby nowa rewolucja, uniezależniając człowieka od sił przyrody, równocześnie uszlachetniła go i skierowała ku Bogu.

Tadeusz Felsztyn

BELGIJSKI KUL

Louvain to dla świata katolickiego przede wszystkim siedziba Katolickiego Uniwersytetu Lowańskiego. Stara nazwa brzmi po łacinie Lovanium; nosi ono też flamandzką nazwę Leuven. Zamieszkuje je około 12 tysięcy studentów (35 tysięcy stałych mieszkańców) z więcej niż pięćdziesięciu różnych narodowości.

Uniwersytet istnieje z górą 530 lat. Założył go w 1425 r. papież Marcin V. Wychowankiem tej uczelni był Adrian Dedel z Utrechtu, późniejszy papież Adrian VI, ostatni nie-Włoch ze Stolicy Piotrowej. Patronką uniwersytetu jest Matka Boska jako Stolica Mądrości — Sedes Sapientiae, której podobizna, przedstawiająca Ją siedzącą na tronie z Dzieciątkiem na kolanach i z berłem zakończonym wielką gwiazdą w prawym ręku, widnieje w herbie uczelni.

Uniwersytet liczy 7 fakultetów oraz Wyższy Instytut Filozofii, założony w roku 1893 przez kardynała Merciera. Są wydziały: teologiczny, prawa kanonicznego, prawniczy, medyczny, filozofii i nauk humanistycznych, nauk ścisłych i techniki, nauk ekonomicznych i społecznych oraz międzywydziałowy Instytut dla Spraw Kolonialnych. Przy poszczególnych wydziałach istnieją specjalne instytuty i szkoły w liczbie dwudziestu. Biblioteka uniwersytecka, ufundowana przez Amerykanów zaraz po pierwszej wojnie światowej, uległa pożarowi w r. 1940; odbudowana, posiada około 800 tysięcy tomów.

Uniwersytet rozrastał się poza Louvain sięgając do Héverlé na południu oraz Lovenjoul i Pellenberg na wschodzie. Oparciem dla instytutów uniwersyteckich w Héverlé stała się darowizna książąt Arenberg, zamek z 30-hektarowym parkiem, gdzie pobudowano instytuty i szkoły, a ostatnio nowoczesny dom studencki, zwany College St. Pie X.

Oprócz gmachów służących celom naukowym znajduje się w Lovain, Héverlé i miejscowościach przyległych wiele domów dla studiującej młodzieży, księży i zakonnic; są kolegia narodowe, m. in. amerykańskie, i Dom kard. Mindszenty'ego. Służą międzynarodowemu zbliżeniu młodzieży katolickiej przybywającej na studia do Louvain.

Przy wydziale prawa kanonicznego istnieje Wyższy Instytut Wiedzy Religijnej; przy wydziale medycznym — Wyższa Szkoła Dentystyki, W. Szkoła Farmacji, Szkoła Wychowania Fizycznego i Szkoła Asystentek Lekarskich; przy wydziale prawnym — Szkoła Kryminologii; przy wydziale filozofii i nauk humanistycznych — Instytut Archeologii i Historii Sztuki, Instytut Orientalistyki,

Instytut Psychologii Stosowanej i Pedagogii, Instytut Afrykański i Wyższy Instytut Literatury. Przy wydziale nauk ścisłych i techniki — Instytut Agronomii i Przygotowawczy, Szkoły Specjalne: Górnictwa, Inżynierii Lądowej, Sztuk i Rzemiosł, Architektury i Elektrotechniki. Przy wydziale nauk ekonomicznych i społecznych — Szkoła Nauk Politycznych i Społecznych, Szkoły Nauk Ekonomicznych, Instytuty: Badań Ekonomicznych i Społecznych, Nauk Ekonomicznych, Nauk Ekonomicznych Stosowanych (Wyższy Instytut Handlu), Nauk Ubezpieczeniowych i Wyższy Instytut Zagadnień Pracy.

Wykłady, konferencje dyskusyjne, koncerty, przedstawienia teatralne, zawody sportowe i zabawy towarzyskie pozwalają młodzieży rozmaitych krajów i środowisk lepiej się poznać i urozmaicają życie studenckie.

Ruch liturgiczny i grupy studiów pod kierownictwem kapelanów akademickich charakteryzują wychowanie religijne.

Władze uniwersyteckie podkreślają ze słuszną dumą, że Uniwersytet Katolicki w Louvain stanowi jakby jedną wielką rodzinę, aktywne i pociągające centrum pracy umysłowej i jedyny tego rodzaju na świecie tygiel społeczny i międzynarodowy.

Na czele zastępu ponad 600 profesorów i pracowników naukowych stoi Rector Magnificus, ks. biskup H. van Waeyenbergh. **A. J. O.**

WŁODZIMIERZ DOŁĘGA

Księża robotnicy?

Słyszałem nieraz jak o tym dyskutowano. Zapytano mnie niedawno, co ja miałbym o tym do powiedzenia? Ale przecież zagadnienia nie studiowałem. Dziś jednak przychodzi mi na myśl dalekie w czasie, a mimo to żywe i bliskie w pamięci przeżycie. Może ziarnko odpowiedzi się tam znajdzie. Opowiem.

Było to dawno. Chyba parę wieków temu, tyle się zmieniło na świecie. Tak się stało, że przyjechałem, młody student uniwersytecki, do Brukseli 21 lipca 1913. Nazajutrz w rannej poczcie mojej „gosciodawczyni", wdowy po premierze z czasów Leopolda II, Mme Jules de Trooz, był list od kard. Mercier z zaproszeniem, bym zjawił się u niego na śniadaniu w piątek o 12.30...

Czekać było trzeba długo w maleńkim odizolowanym parlatorium — takich celek było więcej — gdzie znalazłem się sam wobec pięknej repliki hiszpańskiej figury św. Franciszka z Asyżu. Trwało i trwało. Modliłem się.

W końcu przeprowadzono mnie do skromnego saloniku, gdzie zgromadziło się więcej gości. Same młode i niezbyt zakłopotane sutanny. Wszystko to na parterze długiego białego domu, który, nieopodal katedry, służył w Malines za pałac prymasów Belgii. Wchodziło się z bramy na lewo w to zamieszkałe skrzydło. Na prawo były jakieś apartamenty, oficjalne i puste.

Otwarły się drzwi i stanął w nich Kardynał. Przygarbiony, jak to się zdarza ludziom bardzo wysmukłym, chudym i wysokim, uśmiechnięty, z dziwnym promieniem spokoju...

Cóż? Wszystkiego opowiadać tu nie będę. — Na stole niewiele było. Naokoło zaś okrągłego stołu siadło kilku seminaryjnych kleryków ze starszych kursów — zapraszał ich Kardynał kolejno — po prawej jego ręce młody ksiądz diecezjalny, studiujący w Rzymie, po lewej ja sam, zaambarasowany ważnością spotkania.

Ku końcowi Kardynał rzucił przypowieść — haczyk.

— Spóźniłem się tak bardzo, opowiadał, bo zatrzymał mnie pewien już niemłody kapłan z diecezji Leodium, który przyjechał opowiedzieć mi swe życie. Ot, przeciętne życie księdza, niczym specjalnym nie błyszczące; w przeciętnych warunkach wygody parafialnej, a także nudy, oziębienia. Kraj jak wiadomo przemysłowy: fabryki i kopalnie okalają Liège wieńcem, robotnik zdechrystianizowany miastem, pracą, biedą, socjalizmem itd.

Ksiądz poczuł się bezsilny, odizolowany w swym probostwie. Nikt do niego, każdy precz od niego. Był dla nich intruzem, burżujem; obcym i wrogiem. Żadnego zaczepienia, a pustka życia, mimo przecież Mszy św., coraz większa. Wreszcie, przemogło w nim pragnienie dusz.

Rzucił wszystko, wycofał się z regularnego życia parafialnego, znikł gdzieś w podmiejskich skupiskach jak najbardziej opuszczonych i ubogich, odczłowieczonych warunkami pracy i życia. Pomiędzy hałdami żużli kopalnianych znalazł sobie rozwalony na poły barak i tam zamieszkał zupełnie samotnie, bez usługi, bez wygody. Życie zdane na Opatrzność. I tak w biedzie, w ciężkim życiu zeszło mu wiele lat. Nikogo nie zaczepiał, nikogo nie nawracał, żadnych rad czy nauk nie udzielał. Nikt go zresztą o to nie prosił. Żył w milczeniu, zdany na wiatr, zimno, głód prawie, i czekał. Czekał, aż w nim samym coś zabłyśnie nowego. Znalazł spokój.

A jemu się przyglądano. Zrazu nieufnie. Co ten klecha tu tak odmiennie od innych robi? Podstęp? Zasadzka? Czyhanie? Gdy się przekonano, że nie, gdy zauważono, że jest taki sam opuszczeniec jak inni, że to trwa i trwa, bo lata mijały, zaczęto się nim interesować. Jego wyblakła, wyszarzana postać nie tylko przyjęta została do ogólnego tła życia, włączona w krajobraz codzienny, ale zaciekawiała uczuciem litości. Wygnaniec jakiś? Nie poszczęściło mu się w życiu? O nic nie prosi, milczy, nie zaczepia? Gospodynie ubogie i rozchełstane, pierwsze zaczęły szeptać, dzieci się zbliżały, zaczęto go pytać czy nie potrzebuje czego. Podpatrywano w czym można mu pomóc. Zaczęto mu to i owo znosić, pomagać samorzutnie. Wzięto go „na pensję" solidarności biednych — robotnik nie był jeszcze uprzywilejowanym rycerzem czasów nowożytnych. I doznał ciepłoty tego serca wspólnego. Potem zaczęli zbliżać się „oni". Najprzód ukłonem, pogawędką o pogodzie, tu i ówdzie słówkiem. A potem pękły lody — zaczęto do niego przychodzić, przyłagadzać się, przedstawiać swój trud i sprawy.

Oto teraz, po dwudziestu latach takiego życia, jego chata stała się centrum cowieczornych schodzin, dyskusji, rozmów osobistych. Promieniował na całą okolicę. Stał się nie to księdzem-robotnikiem", ale bliskim, codziennym pasterzem bez tytułu. Przyjacielem. Bo obnażył się ze wszystkich szat wygody mieszczańskiej, zniweczył w sobie wszelką klasowość, ujrzano w nim tylko ludzką dolę i kapłańskie serce, bez żadnych przedpokojów, taksy i kolejek. Ewangelia wchodziła w ich życie poprzez szmaty codzienności szarej, własnej. Stał się ich biedakiem, ich współpodróżnym. Poznawali w nim Innego po łamaniu chleba miłości...

Kardynał zamilkł. Nikt się nie odzywał. Jasne było, że nie opowiadał tego dla anegdotki czy zwodzenia. Szukał reakcji.

Milczałem i ja, choć przyznać się muszę, że gorzało coś w duszy, jak u tych uczniów zdążających do Emmaus. Ale nie śmiałem, nie chciałem nawet nic mówić, bo po co rzucać na szalę uwagi i słowa, gdy się nie jest pewnym. Najprzód wiedza, wiedza o Bogu, osobista, przeżyta, poznanie...

Potem zmieniły się lata... Jednak myślę, że przykład kapłana z takim poczuciem bliskości i pragnienia dusz, opowiedziany wtedy przez Wielkiego Kardynała, nie wymyka się spod po-

stawionego pytania. Myślę, że samotność pustelniczego niemal życia opodal wielkich skupisk ludzkich, wśród ofiar tych skupisk, jest pierwszym i najbardziej potrzebnym krokiem na drodze takich czy innych „księży-robotników". Ich błędem aktywności współczesnej była zda mi się gwałtowna chęć rezultatów, upodobnienia się, zahaczenia. Była w tym nuta demonstracji. Ofiary, być może; ale Bóg mówi, że nie żąda ofiary bez posłuszeństwa. Zanadto się zapomina dzisiaj w tych uszeregowanych, zglajchszaltowanych zespołach, że posłuszeństwo nie zaczyna się i nie kończy tylko posłuszeństwem wobec tzw. „władzy", „sztabów", przewodnictwa. Stałoby się prostym sloganem, takim jak wiele innych sloganów komunistycznych, hitlerowskich, nacjonalistycznych, partyjnych itp.

Zaczyna się od posłuszeństwa Bogu we własnej duszy, w pragnieniu osobistego z Nim kontaktu. Z tego wychodzi wszystko inne. Tym się wszystko inne normuje. Nie byłoby tego „innego" bez tego pierwszego i dla tego. Nie organizacje najprzód, lecz dusze w swych własnych prawach. A na to trzeba swą duszę odnaleźć spod popiołów. Trzeba jej krzyku. A jej krzyk jest zawsze do Boga. Innego krzyku nie ma. Gdy się za tym krzykiem pójdzie, wszystko zbędne odpadnie. Inni wtedy ten krzyk wcześniej czy później usłyszą. I doszlusują, bo rozpoznają go w sobie samych...

Do pustelników, którzy nikogo nie zaczepiają, przychodzą ludzie i to tłumnie. Bo Bóg jest bezinteresowny w miłości. Daje za darmo, tam i wtedy, gdy pieniądze i stanowisko już nie grają roli.

Właśnie w ostatnich latach wzmaga się ruch po świecie za odnowieniem nowożytnych form pustelniczego życia. Chrystus przychodzi wtedy zaświecić Sobą i odchodzi. Lecz dusze już tylko za Nim idą. Kościół, księży, związane z tym socjalne konwencje — można odrzucać z tego lub innego powodu. Choćby z zazdrości, lub choćby z zawiedzenia. Chrystusa odrzuca się chyba tylko bardzo a bardzo rzadko, choć Mu się jest niewiernym.

Tyle mych myśli i wspomnień na zadany przed kilku dniami temat...

Włodzimierz Dołęga

EWA GIERATOWA

JEŚLI MASZ ROZUM...*)

Każdy z nas posiada umysł, ale nie lubimy myśleć. Gdy tylko napotykamy intelektualne zadanie, albo nie podejmujemy go wcale, albo też przejmuje je wyobraźnia.

Wyobraźnia — jak sama jej nazwa wskazuje — tworzy w umyśle obrazy materialnego świata. Czego zmysły nie doznają, wyobraźnia nie może zobrazować. Że coś jest niewyobrażalne, to nie dowód aby nie istniało. Upadek dzisiejszego myślenia jest tak wielki, że w potocznej mowie nieraz mieszamy te dwa terminy: niewyobrażalny — jak np. elektron, dusza, sprawiedliwość (nie sprawiedliwy człowiek, ani przykład sprawiedliwego postępowania); oraz nie do pojęcia, niemożliwy, jak np. czworoboczny trójkąt.

Wyobraźnia przeszkadza umysłowi w trojaki sposób:

1. Rozprasza. Jakże boleśnie łapiemy się na tym , że z godziny przeznaczonej na konkretne zadanie, 55 minut spędziliśmy na bujaniu w obłokach! W koniecznej potrzebie jednak, np. na egzaminie, potrafimy rozproszenie opanować i nie ono jest najgroźniejszym figlem, jaki wyobraźnia nam płata.

2. Ostro cenzuruje. Pozwala umysłowi przyjąć tylko to, co może sama uchwycić, a więc tylko sprawy dostępne zmysłom. Jak oczy nie powiedzą nic o dźwiękach czy smakach, tak wyobraźnia nie jest w stanie ani przyjąć, ani odrzucić spraw pozazmysłowych, nie powinna się do nich wtrącać — a siedzieć cicho właśnie nie znosi, wszędzie chce pakować swoje trzy grosze.

3. Stosuje subtelny sabotaż, niby „pomaga" intelektowi np. przyjąć prawdy nakazane przez wiarę katolicką. Porównania i wyobrażenia pomagają może przełknąć doktrynę, ale jej nie tłumaczą. Wszelkie koniczynki czy trójkąty mające obrazować Trójcę św. nie ułatwiają zrozumienia doktryny, lecz zastępują ją czymś innym. W ten sposób prawda o Bogu może przestaje być „niebezpieczna" dla naszej nie ugruntowanej wiary, ale jednocześnie na pewno przestaje być światłem dla naszego umysłu.

Rozum musi sam spełniać swoje zadanie, musimy osiągnąć dojrzałość umysłową zamiast pozostawać na poziomie dziecinnym. Myślenie jest trudne, wyobrażenie łatwe, a nasze lenistwo wielkie. Stąd niedorozwój. Opanowanie wyobraźni, podporządkowanie jej rozumowi, ogromnie człowieka wzbogaca, wyobraźnia jest bowiem niezmiernie pożyteczna, gdy jej właściwie używamy, do przeznaczonych jej funkcji.

Oprócz złych przyzwyczajeń naszej nieokiełznanej wyobraźni, rozum nasz poddany jest znacznie poważniejszemu ograniczeniu, a mianowicie nasz skończony umysł nie może w pełni ogarnąć nieskończoności. Nieskończoność jest koniecznością matematyczną, nauki ścisłe jednak zajmują się raczej określeniem kierunku, dążeniem do nieskończoności, samego pojęcia nie analizując. W religii mówimy o tajemnicach, których nasz skończony umysł nie potrafi zgłębić — co jednak nie znaczy, aby nie mógł się w nie zagłębiać. Tajemnice te nieraz zdają się zawierać wykluczające się nawzajem sprzeczności, które umysł odrzuca, np. jeden Bóg w trzech osobach, Chrystus Bóg i Człowiek w jednej osobie, itd. Te prawdy wydają się sprzeczne, ponieważ ich punkt styczności leży poza naszym zasięgiem. Gdy patrzymy na równoległe szyny kolejowe, „widzimy" ich punkt przecięcia, choć to tylko złudzenie. Tu jest odwrotnie, zbieżność istnieje, lecz my nie możemy jej „rozumowo zobaczyć". Jeśli te na pozór sprzeczne prawdy chrześcijanin przyjmie na podstawie objawienia, czyni akt wiary i na ogół nie zastanawia się więcej nad nimi. W takiej beztrosce można oczywiście prowadzić w miarę spokojny żywot, ale niesposób wzrastać w znajomości Boga. Jeśli natomiast człowiek zagłębi się w tajemnice, idzie zwykle po jednej z różnych dróg:

— Wybiera jeden element rozważanej prawdy i pomija drugi, więc np. koncentruje się na tym, że Bóg jest jeden, a Jego trzy Osoby pozostają pustymi słowami, które nie docierają do świadomości. Rezultat: brak światła z elementu zaniedbanego, a tylko przyćmione światło z elementu wybranego.

— Przyjmuje oba elementy i zmniejsza ich wyrazistość, upodabnia je do siebie, np. czyniąc Boskość Chrystusa zbyt ludzką, a Jego człowieczeństwo zbyt Boskie. Rezultat: zupełne przyćmienie światła.

— Przyjmuje oba elementy „rozżarzone do białości", nie troszcząc się o ich pogodzenie. Następuje wtedy proces spojenia i w pewnym momencie — nie zdając sobie sprawy z tego lutowania — widzimy jedną prawdę zamiast dwóch. Nie potrafimy powiedzieć jak to się dzieje, ale tak tego doświadczamy.

Doświadczenie tego rodzaju jest powszechne w całym życiu. Życie bowiem jest ciągłym napięciem pozornych sprzeczności, sił, które wydają się zaprzeczeniem jedna drugiej, a które w istocie rzeczy są jakby dwoma podstawami łuku, dwoma biegunami, mię-

---

*) Na podstawie książki F. Sheeda: „Theology and Sanity".

dzy którymi płynie prąd. Przeciwstawiamy wolność posłuszeństwu — a przecież wolność uwarunkowana jest posłuszeństwem; możemy tylko wtedy żeglować po oceanach i latać w powietrzu, jeśli podporządkujemy się prawom przyrody. Śmierć jednego zwierzęcia jest warunkiem życia drugiego. Poświęcenie matki daje życie i szczęście dziecku. Znana zasada życiowa: „Módl się tak, jakby wszystko zależało od Boga, a pracuj tak, jakby wszystko zależało od ciebie", oraz słowa: „Kto zgubił duszę swoją dla Mnie, znajdzie ją" — są również przykładami z dziedziny takich paradoksów, których zresztą pełna jest Ewangelia. Wszechświat — to nicość plus wszechmoc dwie ostateczne sprzeczności, których nie możemy w pełni uchwycić, bo wszechmoc zawiera zbyt wiele treści, a nicość — zbyt mało. Nasz umysł sprawnie działa tylko w swoim własnym wymiarze, tak jak szkolne prawa mechaniki obowiązują tylko w świecie „codziennym", a nie w fizyce atomowej. Tym niemniej ulokowani jesteśmy właśnie na skrzyżowaniu wszechmocy i nicości. Nie możemy ujrzeć zjednoczenia sprzeczności, ale jej doświadczamy, począwszy od samego faktu naszego istnienia.

Wszechświat jest bowiem rezultatem działania wszechmocy na nicość. Odrzućmy wszechmoc, czyli Boga — a pozostanie tylko drugi element: nicość. Takie stwierdzenie wydaje nam się zbyt daleko idące. A jednak jest ono prawdziwe. Gdy stolarz zrobi krzesło, może się o nie więcej nie troszczyć. krzesło nie przestanie istnieć, drewno jest bowiem sztywne, posiada właściwości, dzięki którym utrzymuje nadany mu kształt krzesła. Podobnie gdyby Stwórca zostawił świat swemu losowi, istnienie tego świata uwarunkowane byłoby i uzależnione od materiału, z którego powstał. A powstał z niczego, obojętne jakim podlega ewolucjom czy rewolucjom. Czyli że stwierdzenie: „Bóg stworzył świat z niczego" nieodwołalnie zawiera w sobie i drugi fakt, często zapoznawany, że wszystko we wszechświecie utrzymywane jest w swym istnieniu tylko i wyłącznie wolą Boga, bez której ani my, ani nic w ogóle nie istniałoby ani przez moment.

W fantastycznym i nierzeczywistym świecie żyje ten, kto twierdzi, że korona drzewa zawieszona jest na białej chmurce na tle niebieskiego nieba, nie przyjmując do wiadomości ani pnia ani korzeni. A gdy Kościół usiłuje takiemu fantaście wskazać na ów pień, odpowiedź brzmi: „Zostawmy to teologom, a w każdym razie ludziom religijnym, mnie to nie interesuje." Zupełnie jakbyś krzyczał do szofera: „Uważaj, wpadasz na drzewo" — a on na to: „Nie jestem botanikiem, tylko mechanikiem, i drzewa mnie nic nie obchodzą."

Drzewo jest faktem, nie tylko faktem botanicznym. Bóg jest faktem, nie tylko faktem religijnym. Nie widzieć Go — to być w błędzie w ogóle o wszystkim, włącznie ze sobą samym. Wiedzieć czym jestem — to nie religijny fanatyzm, ale pierwsze zadanie ludzkiego umysłu. Wiedzieć czym jesteśmy i gdzie jesteśmy — to chyba minimum jakiego domaga się od nas nasza godność człowiecza.

Niesposób ogarnąć wszechświata jako całości, jeśli się nie widzi w Bogu źródła istnienia każdej części i ośrodka, w stosunku do którego każda z tych części powiązana jest z innymi. Wszystko istnieje w pewnym związku, badanie części w zupełnym oderwaniu od całości prowadzi na manowce. Można jak najdokładniej obejrzeć ludzkie oko na talerzu, zbadać je pod mikroskopem i różnymi odczynnikami chemicznymi, lecz właściwe pojęcie o oku będzie miał tylko ten, kto przyjrzy się dwojgu oczom osadzonym w głowie. Nie można z rzeczywistości wyrywać tylko kawałka i na tej podstawie osądzać całość, bowiem najdokładniejsza analiza nie da nam o tej całości pojęcia.

Kościół uczy o całej rzeczywistości: Bóg nieskończony i wieczny, Trójca, jedność; ludzkość — skończona, stworzona w czasie, upadła, odkupiona przez Chrystusa; indywidualny człowiek, zrodzony w życiu naturalnym, odrodzony w nadprzyrodzonym życiu łaski, złączony z Chrystusem w Ciele Mistycznym, wspomagany przez Aniołów, kuszony przez szatanów, przeznaczony dla nieba, w niebezpieczeństwie piekła

Niby wiemy o tym wszystkim — uczyliśmy się w dzieciństwie. Tak samo wiemy, że suma kątów w trójkącie wynosi 180 stopni i że Kościuszko miał na imię Tadeusz. Na codzień jest to niepotrzebne, odnosimy się do każdej z tych prawd oddzielnie i zdajemy sobie z niej sprawę tylko wtedy, gdy specjalnie zwracamy się w jej stronę. nie jest ona oczywista i nie stanowi, w naszym umyśle, trwale powiązanej całości z innymi prawdami, ani z naszym codziennym praktycznym życiem. Widzimy nasz własny światek plus to, czego uczy Kościół, tak jakby krajobraz w ciemności, a słońce gdzieś oddzielnie, z przeciwnej strony, za murem. Aby właściwie i prawdziwie zobaczyć wszechświat, trzeba go widzieć w Bogu, jak krajobraz skąpany w słońcu.

Posługiwanie się rozumem w religii jest dla wielu odrażające, a co najmniej zbędne. Mówimy np. że teologowie ani w części nie są tak święci jak niepiśmienna babka z różańcem w dłoni. Oczywiście. że wiedza nie zastąpi miłości, ale ignorancja nie jest bynajmniej cnotą. Dziwny by to był Pan Bóg, którego można by więcej kochać, mniej Go znając.

Intelekt w religii jest potrzebny by widzieć to, co jest. Jedyną alternatywą jest ciemność, to znaczy albo niewidzenie tego co jest, albo widzenie tego, czego nie ma, czyli błąd. Światło jest radością umysłu. Ciepło jest radością woli. I światło i ciepło towarzyszą ogniowi, który widzimy i czujemy oraz przy pomocy którego oglądamy otoczenie. Złudzeniem jest twierdzenie, jakoby w ciemności było cieplej.

O ile nie poznamy prawdziwego wszechświata, żyjemy w odrębnym od Kościoła świecie. Prawa moralne są jasne i naturalne w rzeczywistym świecie. Ale w słabym brzasku półprawd i wśród fantazji, w jakich się obracamy, te prawa wydają się dziwne i nierozumne. Cały ciężar dobrego i właściwego życia przerzucamy na wolę, mówiąc: „Słuchaj nakazów Kościoła." Ze strony rozumu, który sądzi całą rzeczywistość na podstawie tylko paru wycinków, a nie zna całości, napotykamy — rzecz prosta — na duże opory, nakazy Kościoła wydają nam się zupełnie nieuzasadnione. Takie rozdwojenie jest prawdziwym okrucieństwem, rozum i wola bowiem powinny sobie pomagać, a nie toczyć z sobą wojny.

Duch nasz posiada dwie władze. wolę, której zadaniem jest miłować, a więc wybierać, decydować, działać; oraz rozum, który ma wiedzieć, rozumieć, widzieć. Zbawienie zależy od woli: czy wybierzemy Boga, czy siebie. Ale dla pełnego funkcjonowania ducha konieczny jest uniwersalny intelekt, dający nam pełną świadomość rzeczywistości. Wszechświat widziany przez Kościół jest prawdziwy, ponieważ objawiony przez Boga, a więc patrzenie oczami Kościoła jest po prostu zdrowym sensem. Ale my nie tak patrzymy. Nasz umysł jest tylko nakrapiany katolicyzmem, wpinamy oznakę katolicką w klapę takiej samej marynarki, jaką wszyscy noszą.

Minimum teologii konieczne jest każdemu, kto chce żyć w prawdziwym, realnym świecie. Bez tej wiedzy prowadzimy na pół ślepy żywot, poruszając się w świecie, o którego istnieniu w dużej mierze w ogóle nie wiemy. Jak na istotę rozumną o nieśmiertelnym duchu, stan dość opłakany!

Bóg nie jest krzyżówką, którą się rozwiązuje i wyrzuca. Prawda o Nim jest niewyczerpalna. Tajemnica — to krąg światła otoczony ciemnością. Pytanie i szukanie już stanowi pewną wiedzę, krąg się poszerza. Rozumieć czemu nie możemy wiedzieć więcej, to rozumieć prawdziwie. Intensywność światła w kręgu wzrasta, napełnia nas radością, daje intelektualne zadowolenie. Umysł nasz powinien rozwijać się w tym świetle, spokojnie, lecz bardzo pracowicie. Ceną wolności jest wieczna czujność — stosuje się to również do zapewnienia umysłowi wolności wykonywania jego żmudnych, codziennych zajęć.

Ewa Gieratowa

ROZMOWA Z ALEKSANDREM JANTĄ:

O monografię skarbów wawelskich

ŻYCIE zwróciło się do Aleksandra Janty, dyrektora Fundacji Paderewskiego, znanego polskiego działacza kulturalnego w Ameryce, poety, pisarza i publicysty, o informacje w sprawie akcji Komitetu Funduszu Skarbów Wawelskich.

— Jaki jest cel Komitetu?

— Powołany on został, aby stworzyć warunki na wydanie po angielsku monografii Skarbów Wawelskich, jako podstawowego przyczynku do znajomości dziejów Polski na Zachodzie, zwłaszcza zaś do ukazania tak jakby panoramy Złotych Wieków jej historii. Jest to bez kwestii zamierzenie „na miarę Tysiąclecia", tego Tysiąclecia, jakie niebawem obchodzone będzie przez Polaków na całym świecie.

To zadanie podsunięte zostało nie tylko faktem długotrwałej a bezpłodnej — z punktu widzenia interesów polskiej kultury — obecności Skarbów Wawelskich w Kanadzie, choć część wróciła szczęśliwie do Polski. Wynika ono z rozeznania, że jednym z koniecznych zadań pracy społecznej i kulturalnej Polaków na Zachodzie jest podniesienie wyobrażenia, jakie o Polsce posiada Zachód, a równocześnie podniesienie poczucia własnej wartości, zwłaszcza wśród rodaków za oceanem. Z tego względu przedsięwzięcie zmierzające do wydania księgi Skarbów Wawelskich leży w rzędzie pilnych i ważnych zadań w programie działalności dawnej i nowej emigracji. Powiedział to w swoim czasie dobitnie i przekonywująco ks. dr Ignacy Olszewski, redaktor agencji prasowej Inter-Catholic w Nowym Jorku, jeden z najczynniejszych członków Komitetu Funduszu Skarbów Wawelskich.

— Ile dotąd zebrano?

— Zebrano przeszło 4.000 dolarów. Jeśli jednak zważyć, że złożyła się na nie ofiarność zaledwie 225 donatorów, suma ta jest, proporcjonalnie biorąc, bardzo znaczna. Pomyśleć, że gdyby tylko znaleźć dziesięć razy więcej „udziałowców" tego projektu, można by go w całej okazałości zrealizować.

— Ile potrzeba?

— Potrzeba jakich 30.000 dolarów na zamówienie dodatkowych zdjęć, przygotowanie tekstu, a wreszcie na gwarancję dla amerykańskiego wydawcy, który podjąć się zechce druku tej monografii jedynie na podstawie pewności, że znajdzie pewny i natychmiastowy zbyt dla, powiedzmy, 3.000 egzemplarzy.

— Co dotąd uczyniono w kierunku realizacji tego projektu?

— Pytanie to łączy się z poprzednim, jest jego rozwinięciem. Posiadamy już prawie pełny materiał ilustracyjny — zdjęcia kolorowe, dokonane częściowo przez słynnego fotografa kanadyjskiego Yousufa Karsha, który jest entuzjastą naszego projektu. Posiadamy dokumentację historyczną jako podkład do pracy nad przygotowaniem tekstu. Nie chodzi nam jednak o dzieło ściśle naukowe. Chodzi raczej o pięknie napisaną opowieść o dziejach Polski w oparciu o wspaniałe ilustracje, jakie już mamy, albo jakie jeszcze mogą być zrobione.

Jesteśmy gotowi do zamówienia tekstu. Nie jest wykluczone, że wybierzemy w tym celu jednego z wybitnych historyków sztuki w Polsce.

— Jaka jest kontrola funduszów wpływających na konto Fundacji Paderewskiego z przeznaczeniem na Fundusz Skarbów Wawelskich?

— Zacznijmy od tego, że Fundacja Paderewskiego, jako instytucja amerykańska oświatowa i kulturalna, zwolniona jest od podatku dochodowego. Tym samym stoi ona pod ścisłą kontrolą zarówno władz federalnych jak stanowych. Dotyczy to zarówno wpływów jak wydatków. Niezależnie od tego, na życzenie gen. Sosnkowskiego, powołana została Komisja Rewizyjna Funduszu jako czynnik kontroli społecznej. Odbyła ona w roku bieżącym posiedzenie pod przewodnictwem p. Stanisława Gierata, z udziałem ks. płk. Franciszka Tyczkowskiego i uznała zarówno prawidłowość księgowania jak celowość dotychczasowych wydatków. Niezależnie od tego paryska „Kultura" zgodziła się ogłaszać imienne listy wszystkich ofiarodawców, co stanowi dodatkowy sposób kwitowania wpływów. Każdy ofiarodawca otrzymuje oczywiście pokwitowanie. Opatrzone ono jest wyjątkiem z testamentu króla Zygmunta Augusta: „Acz to wszystko... jest nabycie i własność przodków naszych... na Koronę Polską i na W. Ks. Litewskie, jak na jedną Rzeczpospolitą, ale tylko ku pospolitej potrzebie, nie chuci inszej i ku ozdobie potężnej i potrzebnej a uczciwej oddajemy i odkazujemy."

— Czy istnieje związek między zagadnieniem powrotu skarbów do Polski a projektem opartym o Fundusz S. K. W., który jest inicjatywą emigracyjną?

— Zamierzenie nasze ma charakter inicjatywy społecznej, która wyciągnęła wniosek z faktu, że wielka historyczna sposobność, jaką stanowi czasowe a niewykorzystane dotąd przebywanie zbiorów narodowych na kontynencie amerykańskim, została dotąd w programie działalności Polaków żyjących na Zachodzie pominięta, względnie przeoczona. Otóż bez względu na to, czy Skarby Wawelskie zostaną jeszcze czas jakiś w Kanadzie, czy wrócą do Kraju jutro, wszyscy w naszym Komitecie są zgodni, że na emigracji ciąży obowiązek dopełnienia zadań związanych z ich przedłużoną, a jak podkreśliłem porzednio, bezpłodną dotąd obecnością poza Krajem.

Wychodząc z założenia, że kultura polska jest najsilniejszym łącznikiem, jest więzią, która postanawia o czuciu naszej duchowej przynależności do polskiego świata, ten program i ten projekt powinien być z entuzjazmem przyjęty przez wszystkich poczuwających się do swojej polskości ludzi. Stanowi on też, w moim rozumieniu, jeden z elementów łączności i wspólnoty z Krajem, bez względu na takie czy inne przekonania polityczne, które nas dzisiaj dzielą. Energie marnowane na spory wczorajsze dawno by można zaprząc do pracy nad programem pozytywnym, zamiast zasklepiać się w negacjach wobec rzeczywistości, która nas otacza.

— Jaka jest reakcja w Polsce na ten projekt?

— Sądząc z rozmów, jakie miałem z przedstawicielami kultury polskiej, którzy przybywali do Ottawy i którym wydana została część zbiorów, już powróconych Polsce, reakcja jest nad wyraz pozytywna, żeby nie powiedzieć entuzjastyczna. W Polsce wydaje się taki projekt nie tylko każdemu zrozumiały, ale stanowiący jedno z logicznych zadań dla Polaków mieszkających na Zachodzie, którzy wobec tego Zachodu mogą się przecież legitymować wielką przeszłością i wielką rolą Polski w świecie, i to właśnie na przestrzeni tych lat tysiąca, o których tyle się ostatnio mówi. Nic lepiej niż Skarby Wawelskie nie zilustruje tej przeszłości, na Zachodzie tak mało znanej.

Pomyślmy tylko, jaka to lekcja dumy i godności dla młodszego pokolenia, jaki pokaz wielkiej, bo europejskiej tradycji w epoce jagiellońskiej dla tych mas wśród Polonii, które Polskę znają z okresów upadku, nędzy, nieszczęścia, które mało wiedzą o jej przeszłości, mogącej się równać z pierwszymi krajami w Europie, a pod wielu względami nawet je wyprzedzać.

— Co wyobraża to „W" z koroną, jakie spotykamy na wszystkich drukach i komunikatach Komitetu?

— Znak rozpoznawczy Funduszu Skarbów Wawelskich, jaki utworzony został przy Fundacji Paderewskiego, zaprojektowany przez mieszkającego w Detroit artystę polskiego, Anatola Girsa, symbolizuje — oczywiście Wawel, królewski zamek, królewskie wzgórze, królewską przeszłość — Złote Wieki naszej historii.

To wawelskie W — wspólna własność nas wszystkich — może być zamienione z naszej woli i naszych wysiłkiem w symbol Wolności. Mówię o tej wolności wewnętrznej, więc duchowej, która jest przywilejem naszego życia. Myślę także o naszym zbiorowym obowiązku nie tylko wobec przeszłości, bo przede wszystkim z myślą o pokoleniach przyszłych.

Wspólnym obowiązkiem wszystkich Polaków, tych zwłaszcza, którzy żyją na Zachodzie, jest danie świadectwa i poparcia tym wartościom kultury narodowej, które pozwoliły nam przetrwać najcięższe klęski i wyjść zwycięsko z najokrutniejszych prób. Wiadomą i namacalną cząstką tego wielkiego dziedzictwa są zbiory narodowe, odcięte przez długi czas warunkami od narodu, do którego należą i który tym posiadaniem łączą z wiekami chwały, ze wspomnieniem wielkości, z wiarą w przyszłość.

Kto tylko poczuwa się do wspólnoty kulturalnego naszego dobra, do związku z historią własnego narodu, ten będzie chciał mieć udział we wspólnym przedsięwzięciu, jakim jest dzisiaj Fundusz Skarbów Wawelskich. Daje to możność zadokumentowania naszej wiary w wartości nieprzemijające i woli, aby stały się naprawdę powszechną własnością polską, posiadającą obywatelstwo światowe.

— Rozumiemy więc, że akcja na rzecz monografii Skarbów Wawelskich rozszerzona być winna na całą polską zbiorowość, która znajduje się poza Krajem.

— Polacy chętnie nieraz powołują się na tysiącletnią kulturę, na cywilizacyjną rolę przodków, na dokonania i dorobki Złotego Wieku i innych świetnych okresów naszej historii. Gdy jednak w dzisiejszych czasach staje przed nami sposobność ukazania żywego związku z tym rodowodem wielkości i wspaniałości, jaki symbolizują Skarby Wawelskie i inne jeszcze narodowe zbiory — wartości dziesiątków milionów dolarów na rynku świata, ale dla Polaków nie mające w ogóle ceny — czy trzeba powtarzać i czy należy prosić, aby Polacy sami złożyli dowód poczucia narodowej wspólnoty i plebiscytem wiary we własne siły zaświadczyli jak drogie i ważne dla nich są naprawdę te Skarby?

Fundusz Skarbów Wawelskich służy wypełnieniu obowiązku Polaków na Zachodzie wobec tych narodowych zbiorów, jakie samym Polakom — zwłaszcza na emigracji — nie dość są znane. Pod warunkiem spełnienia tego obowiązku, powrót skarbów do Polski traktować będzie można jako akt godności i mądrości narodowej, a nie kapitulacji, jak to próbowano interpretować.

Jakie reakcje spotkał pan wśród europejskiej Polonii?

— Rozmawiałem w lecie z czołowymi działaczami polskimi w Londynie i w Paryżu. Zgodna jest na ogół opinia, że pod warunkiem przedstawienia tego projektu szerokim rzeszom naszej polskiej społeczności na Zachodzie, jako pięknego sposobu oddania sobie samym, ale także narodowi polskiemu mieszkającemu w Polsce przysługi „na miarę Tysiąclecia", można spodziewać się oddźwięku żywego i liczyć na znaczny udział. Proszę zważyć, że jednorazowy, ale powszechny wysiłek — powiedzmy zbiórka w dniu 3 maja 1960 — między Polakami poza Krajem, ale na całym świecie, rozwiązać może od jednego zamachu cały problem, to znaczy stworzyć kapitał własny, niezależny i dający szanse dywidend w dalekie lata.

— Jak przedstawia się konkretny wniosek?

— To proste. Wniosek ten stawiam w postaci apelu do przywódców życia polskiego na emigracji, a także do jednostek, które doceniają znaczenie inicjatywy kulturalnej, o której mówimy. Chodzi o stworzenie wspólnym wysiłkiem podstawy tego dzieła.

Radzi będziemy, jeśli oddziały Komitetu Funduszu Skarbów Wawelskich powstaną w Anglii i w innych krajach, gdzie można liczyć na udział społeczeństwa i organizacji w tym wspólnym wysiłku. Wpłaty bezpośrednie kierować można na Fundację Paderewskiego w Nowym Jorku, która pod przewodnictwem Edwarda S. Witkowskiego posiada piękną kartę dokonań na polu oświaty i poparcia kulturalnej pracy polskiej na różnych odcinkach. Adres Fundacji: 55 West 42 Street, New York 36, N.Y. (Tu należy również kierować korespondencję w sprawie projektu.)

Apeluję do wszystkich, aby wyznaczono proponowany wyżej dzień 3 maja 1960 na oświatową zbiórkę polską pod hasłem monografii Skarbów Wawelskich. Przypominam, że to co dotąd udało się zdziałać, to dopiero początek ogólnego wysiłku, który nastąpić musi, tym bardziej, że w myśl rozpoczynającego tę akcję apelu gen. Sosnkowskiego „... wydanie monografii zbiorów polskich, znajdujących się obecnie w Kanadzie może stać się zaczątkiem Funduszu Kultury Narodowej, jako gruntu, na którym Polacy poza Krajem byliby zdolni powszechnym wysiłkiem przynieść pożytek swemu narodowi przez uwydocznienie jego osiągnięć kulturalnych o znaczeniu ogólnoludzkim!"

*

Nie ulega wątpliwości, że inicjatywa Komitetu F. S. W. zasługuje na poparcie i przez Polaków wszędzie i przez ich przyjaciół, zwłaszcza w Kanadzie i w Stanach Zjednoczonych.

Prace przygotowawcze już dokonane każą wierzyć, że monografia będzie trwałym pomnikiem, godnym przedmiotu naszych trosk. Wspaniałe wielobarwne plansze (jak niezrównana reprodukcja wawelskiego arrasu „Potop", wydana luksusowo w wielkim formacie angielskiego prospektu akcji Funduszu K. S. W. — The Polish Royal Treasures Chest) budzą zachwyt, podziw i zainteresowanie cudzoziemców.

Trzeba — przy poparciu wszystkich zainteresowanych instytucji i organizacji — wyznaczyć dzień zbiórki powszechnej w roku 1960, żeby Polacy — jak świat długi i szeroki — mogli uczestniczyć w realizacji dzieła, które pokaże skarby kultury polskiej.

ST. CZECHANOWSKI

CIEŃ RAPALLA

Na bawarskim zjeździe dzielnicowym zachodnio-niemieckiej partii liberalnej (FDP) N. Mende, przewodniczący frakcji parlamentarnej powiedział, że cztery mocarstwa są na najlepszej drodze do dogadania się kosztem podzielonych Niemiec. Obawy porozumienia się Zachodu z Rosją na zasadzie status quo sprawy niemieckiej narastają w NRF. W związku z tym poddaje się krytyce celowość dotychczasowej polityki Bonn, a pewne koła rozważają zmianę kierunku polityki zagranicznej.

Konkretne projekty wysuwane są na razie nieśmiało i w środowiskach odgrywających nieraz zaledwie marginesową rolę w życiu politycznym. Niemniej, coraz częściej kwestionuje się celowość polityki paktu atlantyckiego i integracji europejskiej. Na wypadek „zdrady" swoiście interpretowanych interesów niemieckich przez Amerykę nie pozostaje nam nic innego jak podjęcie próby bezpośredniego „dogadania się" ze Związkiem Sowieckim — oto zdanie, które nieraz wyczytać można dosłownie, przeważnie jednak między wierszami niektórych niemieckich komentarzy politycznych.

11 października odbył się w Schwetzingen kongres partii uchodźców (Bund der Heimatvertriebenen und Entrechtenen — BHE). Jedna z rezolucji kongresu brzmiała: „Postawa mocarstw zachodnich w sprawie niemieckich ziem wschodnich staje się coraz bardziej nieznośna... Z całym naciskiem należy im przypomnieć, że my, a nie Polacy i Czesi, jesteśmy ich sojusznikami..." Groźby pod adresem Zachodu wyraźniej zaznaczone zostały w szowinistycznym przemówieniu dr. L. Kathera, wiceprezesa BHE, i Fellera, przewodniczącego okręgu wirtemberskiego. Feller wypowiedział się za bezpośrednimi rozmowami z Rosją, „która dysponuje tym, co posiadać pragniemy"...

Biuletyn Związku Wysiedleńców, „Deutscher Ostdienst", zamieścił (28. 9) notatkę pt. „Annäherung — vor sovietisch — deutschen Gesprächen?", gdzie jest mowa o rzekomej możliwości podjęcia przez Rosję rozmów z NRF w sprawie traktatu pokojowego, względnie (na wzór austriacki) układu państwowego. Rodzynkiem notatki jest twierdzenie o rzekomym przekonaniu bonskich 'kół dyplomatycznych', iż „Rosja skłonna byłaby do zwrócenia Niemcom (którym? zachodnim czy wschodnim?) północnowschodniej części Prus Wschodnich za cenę odszkodowania w wysokości 10 do 15 miliardów DM i dalszego wydzierżawienia portu w Pilawie marynarce sowieckiej... Tym sposobem pominie się konieczność zawarcia traktatu pokojowego z Polską, co pociągałoby za sobą ustosunkowanie się do problemu granicy na Odrze i Nysie, który ze względów wewnętrzno-politycznych nie jest do rozwiązania."

Cała wiadomość jest wymysłem Związku Wysiedleńców. Warto jednak zadać sobie pytanie czy chodziło o złośliwość pod adresem Polaków, czy miał to być raczej balon próbny dla wybadania ewentualnej reakcji sowieckiej? Grupa „bałtyckich Niemców", wywierająca przemożny wpływ na politykę wysiedleńców i starająca się zapłodnić „Ostpolitik" czynników oficjalnych, wraca wciąż

(Dokończenie na str. 32)

FLORIAN ŚMIEJA

Świętej pamięci Ojca poświęcam

FAJKA

Ujrzałem go po raz pierwszy w kościele. Kiedy ksiądz pokropiwszy święconą wodą trumnę, okadził ją cienkimi strużkami dymu, weszli bezszelestnie czterej czarno ubrani mężczyźni z zakładu pogrzebowego i wprawnym ruchem wydźwignęli ją ponad głowy. Spłynęła nawą w ostatnią podróż żegnana wersetami łacińskimi, z których zrozumiałem tylko słowo p a r a d i s o. Z ław wysypali się żałobnicy i z pewnym zażenowaniem podążyli za orszakiem.

Mój stryj nie był lubiany za życia, tak ze po śmierci nikt po nim łzy nie uronił. Zresztą ja też byłem na pogrzebie ciałem tylko obecny, choć stryj pod koniec poczuł do mnie jakąś dziwną słabość. Ogarnęło mnie więc zdumienie, kiedy zobaczyłem stojącego z boku młodego mężczyznę zalanego łzami. Średniego wzrostu, raczej krępy, patrzył przed siebie niewidzącymi oczyma. Ostra twarz drgała wzruszeniem. To mnie zadziwiło i zarazem ubodło moją dumę: miałże ktoś nieznany, nie z rodziny, przywłaszczyć sobie obowiązek żałoby? Spojrzałem na niego złym wzrokiem, ale on mnie nie widział. Stał gdzieś poza mną, gdzieś bardzo daleko.

Wyszedłem z kościoła podrażniony. Na ulicy uformował się kondukt. Wieńce i kwiaty pokrywały ciężkim całunem karawan. Kierownik zamykał oszklone drzwiczki, kobiety żegnały się z mężczyznami, którzy mieli jechać na cmentarz trzema czarnymi limuzynami stojącymi opodal. Wsiadłem do ostatniej i wnet ruszyliśmy w drogę. Z początku jechaliśmy wolno, posuwając się za kierownikiem orszaku. Ale gdy tylko znaleźliśmy się na głównej ulicy, nabraliśmy szybkości. Tu i ówdzie idący chodnikiem mężczyźni przystawali uchylając kapelusza, kobiety patrzyły bezwiednie i było widać wtedy szybki cień przesuwający się po ich twarzach. Większość ludzi nie zwracała jednak na nas uwagi spiesząc ku swoim nieprostym sprawom.

Cmentarz był na krańcach miasta. Wjechaliśmy nań gładko, z rutyną autobusu dobijającego do końcowego przystanku. Z karawanu wyniesiono trumnę i poniesiono w stronę świeżo wykopanego dołu. Wszystko było gotowe: belki przerzucone przez jamę i pasy, na których miano opuścić trumnę. Zebraliśmy się wokoło. Wtem obsunęła się belka i jeden z mężczyzn porzucił linkę, aby poprawić podkład. Przez myśl mi przeszło, żeby doskoczyć i stanąć na opróżnionym miejscu. Miałem okazję oddać mu ostatnią przysługę. Ruszyłem po momencie wahania nad brzeg dołu. Za późno. Trumna już zstępowała w piaszczystą mogiłę. Kolebała się nierównomiernie. Jedna linka nie podążała za pozostałymi trzema opóźniając litościwie zjazd. Posypały się grudki ziemi. Po chwili mężczyźni zaczęli grupkami umykać do najbliższego baru na wódkę. Miałem już odejść, kiedy rzuciwszy okiem po raz ostatni na świeży grób, ujrzałem nieznajomego z kościoła. Stał nad otwartą mogiłą i szukał rękami czegoś w kieszeni płaszcza. Wydobył torebkę papierową i ku mojemu zdumieniu rzucił ją na trumnę. Nie potrafiłem opanować ciekawości i postanowiłem dowiedzieć się powodów tajemniczego zachowania się młodzieńca. Podszedłem do niego, ale nie śmiałem się odezwać. Staliśmy obaj w milczeniu przez dłuższą chwilę. Nagle nieznajomy odwrócił się i wolnym, ciężkim krokiem podążył ku ulicy. Chciałem go zawołać, ale onieśmieliły mnie łzy na jego twarzy i zwisłe, bezradne ramiona.

Co go mogło łączyć ze zmarłym? Próbując sobie przypomnieć wszystkich przyjaciół stryja, nijak nie mogłem tego pojąć. Może zaszło tu jakieś nieporozumienie — pomyślałem podążając za tajemniczym nieznajomym. Dogoniłem go na ulicy, na przystanku.

— Pan znał stryja? — zagadnąłem.

Spojrzał na mnie łagodnie i zaprzeczył wolnym ruchem głowy. Nie znał! Zdumiałem się jeszcze bardziej. Widać odgadł moje zdziwienie, bo dodał:

— Dzisiaj jest pogrzeb mojego ojca.

Zwątpiłem w jego rozsądek i chciałem odejść, ale przytrzymał mnie i ująwszy za rękę powtórzył:

— Tak, dziś go pogrzebano. A mnie tam nie było. Teraz pan rozumie?

— Nie bardzo — musiałem przyznać. — Ale może się gdzieś schronimy, bo zaraz będzie padać, a autobusu nie widać. — Poszliśmy do pobliskiej kawiarenki. Rozespana kobieta ze zwisającym niedbale papierosem w źle karminowanych ustach postawiła przed nami dwie filiżanki. Duże krople deszczu przesłoniły widok na ulicę.

— Coś do zjedzenia? — zagadnęła nie wyjmując papierosa.

Nieznajomy podziękował, mieszał długo lekką, aluminiową łyżeczką, podniósł naczynie do ust, ale zanim się napił, zauważył:

— Dobrze, żeśmy się tutaj schronili. Patrz pan jak tam leje.

Spojrzałem na ulicę. Po szybie ciurkała woda. Autobus torował sobie drogę czerwonym cielskiem. Wtem zauważyłem w szybie twarz towarzysza wpatrzoną w szarugę. A może w moje odbicie? Patrzył na mnie jakby z płótna Rembrandta, wyrazisty światłem z otaczającej tajemnicy. Dziwny efekt robiły krople deszczu spływając po jego lustrzanej podobiźnie. Zdało mi się, że to płakała jego dusza.

— Mówi się, że pogoda jest dobrym znakiem w dzień ślubu. Myśli pan, że deszcz w pogrzeb coś znaczy?

Zaskoczyła mnie jego uwaga, lecz zanim zdołałem cośkolwiek odrzec, dodał:

— Ale może tam nie pada. A zresztą, co za różnica?

Spoglądałem na niego z zaciekawieniem. Czułem jednak, że dowiem się wszystkiego, jeżeli będę cierpliwy. Nie myliłem się, gdyż mój towarzysz poprawił się na krześle i spojrzał w moją stronę.

— Jeszcze dwa tygodnie temu był ze mną tutaj, a dziś go pochowano. Kiedy po długich latach niewidzenia stał się znów osobą ważną i drogą, opuścił mnie na zawsze.

— Pan ojca dawno nie widział?

— Piętnaście lat. To może nawet nie jest tak bardzo długo, ale dla mnie to pół wieku. A i z tej drugiej połowy wiele czasu spędziłem poza domem. W pewnym sensie przyzwyczaiłem się nie mieć ojca. Rozdzieliła nas wojna. Ojciec pozostał w Kraju, ja osiedliłem się po demobilizacji na Zachodzie. Oczywiście wymienialiśmy listy, choć to nie jest zupełnie ściśle. Matka pisała, bo ojciec, zawsze czuł wstręt do pióra. Nie ufał literze. Wolał żywe słowo. Mama mawiała, że z niego jest wielki rajca. Pamiętam jak na krótko przed śmiercią miał trudności z oddychaniem. Również mówienie szło mu opornie. Ale nie rezygnował bez walki nigdy. Ostatkiem sił kierował rozmową. Matka próbowała przeszkodzić. „A dyć, Piotrze, nie gadaj tak wiele, bo ci słów zabraknie. Powiadają, że każdy człowiek ma trzy tysiące słów, kiedy się skończą, umrze." Biedna mama! Nie przeczuwała, że trzeci tysiąc ojca był na wyczerpaniu.

Z trzaskiem otworzyły się drzwi. Z pluchy wszedł

zmokły gazeciarz ubrany w krótki płaszcz z demobilu. Tupnął kilka razy z furią próbując otrząsnąć z siebie wodę. Pod pachą dzierżył stos oklapłych gazet.

— Okropny dzień.

— Straszny — odpowiedziała kobieta nie wyjmując papierosa.

Gazeciarz schylił się niezgrabnie po monetę, ukazując podarte, przemoczone buty i gołe kostki. Nie miał skarpet.

Mój rozmówca drgnął na ten widok. Grymas, który ściągnął jego twarz, był czymś więcej niż tylko fizycznym odruchem zimna. ,

— Łatwiej wielbłądowi...

— Proszę?

— Nic. Przepraszam pana. Tak tylko do siebie mówiłem...

— Niech się pan nie krępuje. Nie zna mnie pan, a to, co mi pan zawierzy, pozostanie między nami.

— Głupstwo właściwie, nic ważnego. Przyszła mi na myśl przestroga, że łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne niż bogaczowi przez bramę nieba. Niepokoiła mnie ona przez długi czas, a i dziś, choć wiem, że ucha igielnego nie należy brać dosłownie i że chodziło o dobrze znaną współczesnym Chrystusowi wąską bramę Jerozolimy, niemniej dręczy mnie ta wizja niemożliwości.

— Jest pan bogaty — zagadnąłem niepewnie.

— Ja? Ja nie. Ale ojciec był. Oczywiście nie na tutejsze warunki. We wsi był najbogatszy i dumny z tego faktu do śmierci. Pamiętam jak na jakieś trzy tygodnie przed zgonem podniósł się z posłania, żeby pochwalić się przede mną swoją pracą. Błysnęły mu oczy kiedy nadmienił, że jest przedmiotem zawiści.

Czy bogaci muszą zostać potępieni dlatego, że mają kamienice czy kawałek pola? Nie mam na myśli ludzi urodzonych w bogactwie, ludzi, którzy nigdy nie pracowali na kawałek chleba. Myślę o ludziach takich jak mój ojciec. Pokaźnego majątku dorobił się z niczego. Zaczynał w biedzie. Po trzydziestu latach wytężonej pracy dochrapał się domów, jeden nawet sam postawił zadłużając się na całe życie. Kupił kawałek pola i przemienił na sad i ogród warzywny.

Sprytu mu nie brakowało, ale nie stronił również od prawdziwego wysiłku. Oszczędzał i odmawiał sobie wielu rzeczy, niemniej potrafił być hojny i wspaniałomyślny. „U nas zawsze to samo“ — zwykł mawiać: — „jemy to samo pierwszego, co ostatniego.“ U sąsiadów bywało inaczej. Po wypłacie gęś, pod koniec miesiąca cienkie zupki i wodzianka.

Zapobiegliwy był mój ojciec, zapobiegliwy. Czy orać czy siać, żąć czy rąbać, szczepić stromiki *), reperować dachy, prowadzić sklep i podnieść z ruiny cegielnię — wszystkiemu dawał radę. Potrafił być czasem oschły i wymagający dla innych, skoro sam w pracy takie surowe rygory znosił. Ale najczęściej tylko śmiał się: „Tytka z ciebie. Tyś nie do roboty.“ Radził, pomagał, kierował, wodził rej. Był solą ziemi, która go zrodziła, kochał ją i dbał o nią jak tylko chłop małorolny potrafił. Na swoim czuł się jak udzielny król i dumy swojej nie tail.

Wdzięczności nie żądał, ale drażniła go czarna niewdzięczność ludzi, którym nieraz pomógł. Raz kupił konia i wóz bezrobotnemu woźnicy. Ten nie spłaciwszy długu konia i wóz sprzedał i tyle ojciec widział swoje pieniądze. Innym razem wykształcił palacza do cegielni, okazując mu wiele serca, a potem tenże sam człowiek przyszedł na zarządcę domów, które Niemcy ojcu skonfiskowali. Kiedy wybuchła wojna, uzbrojeni cywile wpadli rano pierwszego września do naszej wsi i wie pan? — przyszli najpierw po ojca. Byliby go niechybnie zastrzelili, gdyby im otworzył drzwi, do których się dobijali. Wyskoczył oknem tak nieszczęśliwie, że sobie nogi poskręcał. To go uratowało. Oprawcy wzdrygnęli się przed dobijaniem powalonego wroga. Wroga? A tak, bo był bogaty.

Nieraz ojciec zazdrościł sąsiadom, którzy co mieli to zaraz przejedli i przepili. Nikt ich nie ruszał. Oni byli sprawiedliwi, ubodzy. Im należało ciągle pomagać. Kiedy po wojnie niektórzy z nich znaleźli się w lepszej sytuacji od ojca, nawet im przez myśl nie przeszło spytać, czy może ich gospodarz czego potrzebuje. Żal miał o to ojciec aż do śmierci, chciał zobaczyć ludzkie serce, pragnął uwierzyć w ludzi. Trapiła go myśl, że jeden człowiek powinien się dzielić z innymi, że sobkostwo musi być błędem. Nie wiem, czy ostatnie dni przynajmniej osłodziła mu ludzka troska o jego zdrowie. Nie wiem...

— Więc ojciec jeszcze przed śmiercią miał szczęście zobaczyć się z panem?

— Tak. Niecałe trzy tygodnie był tu z matką. Starali się o przyjazd od dawna. Ciężko chory ojciec jeździł do Warszawy i do Katowic po różne papierki. Wystawał godzinami i dniami całymi przed biurami bezdusznych, wygodnie sytuowanych panów, chory i umierający. Kiedy wreszcie uzyskał paszporty, wizy i zakupił bilety, zdawało się, że w żadną podróż się już nie puści. Ale po dwu dniach nastąpiła nagła poprawa. Żelazne serce zrobiło nadzwyczajny wysiłek i ojciec dał się matce namówić na wyjazd.

Jechali przez Niemcy, Holandię, przeprawili się przez morze i dotarli wreszcie w sam dzień moich urodzin na londyńską stację.

Poznałem ich bez trudu: mama siwiutka już, ojciec... cień. Jeden rzut oka powiedział mi wszystko. Przywitawszy się nie omieszkałem podzielić się niepokojącą obserwacją. „Tak, tak“ — zgodził się ojciec miękko — „chory jestem. Nie mogę czasem dopaść powietrza.“

O taksówce nie chciał słyszeć. Mimo waliz dość ciężkich trzymał się dzielnie. Tylko schody go niepokoiły. A stacje kolejki podziemnej, przez które wypadło jechać, nie były łaskawe.

Położyłem go natychmiast do łóżka. Próbował się podnieść, trochę chodzić. Nie poddawał się. Nazajutrz poszedłem z nim do doktora. Widok jego wycieńczonego ciała potwierdził najgorsze obawy, że aż nie do wiary, aby tak biedny organizm potrafił żywić jego żelaznego ducha. Część drogi powrotnej przebyliśmy pieszo. Prowadziłem go pod ramię lekkiego i posłusznego.

Karetka zajechała w kilka godzin później. Rozpoczęły się długie dwa tygodnie szpitala. Ojciec nie umiał słowa po angielsku. „Nauczyłem się cierpliwości w szpitalu“ — zwierzył mi się kiedyś. Niech pan sobie pomyśli: zdany na łaskę obcych, z dala od rodzinnych stron, bezsilny i osaczony przez śmierć. Z początku ufał szpitalowi. Czuł się w dobrych rękach, miał zdrowy apetyt. Snuł znowu wizje przyszłych prac i choć myślami próbował oderwać się od stanu bezczynności i niemocy. Ogłaszał chwilowe tryumfy z przeświadczeniem, że oto jeszcze jedną przeszkodę zwycięsko pokonał, jak tyle innych w swym życiu. A my, a raczej matka, umacnialiśmy go w opinii, że już niedługo wyzdrowieje.

— Musiało mnie na tym statku zawiać — powtarzał w kółko lekarzowi, który umiał po niemiecku — hören Sie, ich habe mich gewiss auf dem Schiff verkühlt.

— Sicher, auf dem Schiff.

— Es wird wieder vergehen.

— Ja, ja. Es wird bald vorüber sein. Solche Krankenheiten dauern nicht lange. Nun müssen Sit sich aber ausruhen.

Ja jeden wiedziałem wszystko. Ojciec cierpiał na raka płuc w końcowym stadium. Nie można już było operować. Ile mu czasu zostało? Miesiąc, albo sześć tygodni. Młoda lekarka dodała: „Dokładniej tego określić nie mogę. We are not that clever, you know.“

Pozwoliła mi odwiedzać ojca o każdej porze. Dość daleko było do szpitala, obowiązki zaczęły przeszkadzać, usuwać sprzed oczu tragizm położenia. Może zachowały się w przeświadczeniu strzępki wiary w cud, czaiła się wątpli-

*) drzewka — w gwarze śląskiej.

wość w nieomylność wiedzy medycznej. Przecież lekarka sama wyznała, że nie jest t h a t c l e v e r.

Choć nie odwiedzałem ojca tak często jak należało w tej sytuacji, sporo razy przesiadywałem przy jego łóżku, nawet wymykałem się do niego bez wiedzy matki. Nie chodziło tylko o urozmaicenie mu nieprzyjemnego leżenia wśród obcych ludzi. Mieliśmy sobie dużo do powiedzenia. Zacząłem poznawać ojca od strony nieznanej. Pamiętałem jego surowość, upór, zręczność, pracowitość. Teraz odkryłem perspektywę nieznaną, nową — rodzicielskiej słodyczy i głęboko chowanej miękkości.. Odkryciem swoim byłem nie mniej zaskoczony niż kiedyś w pociągu. Jeżdżąc do szkoły tą samą trasą poznałem dobrze krajobraz mijany tyle razy i pokochałem go. Pewnego dnia moje stałe miejsce przy oknie było zajęte. Usiadłem więc z drugiej strony przedziału. Ze zdumieniem oglądałem widoki całkiem mi nieznane i dlatego niepokojące. Tyle razy przejeżdżałem przecież tamtą trasą, a nie znałem jej należycie.

Po chwilowym polepszeniu stan ojca zaczynał się pogarszać. Mimo to starał się nie być ciężarem dla nikogo. Nawet się sam golił. Palenie porzucił. Przynosiłem mu owocowe cukierki, które bardzo lubił, szczególnie kwaśne. Był obolały od zastrzyków, stracił apetyt. Zaczęła się budzić nieufność do tego co mu o stanie zdrowia mówiliśmy. Niepokoiła go źle ukrywana obojętność lekarska: czuł, że został odstawiony na boczny tor, że prawdziwe życie płynie gdzieś obok. „Tego starego z przeciwka operowali i już się dobrze czuje, a mnie to nie jest wcale lepiej,, — skarżył się cicho.

Mijały dni i kończył się szybko czasokres życia dawany przez lekarzy. Musiałem działać szybko. Przywiozłem ojca do domu, bo nie chciał jechać ze szpitala na dworzec. Zawezwałem księdza, który udzielił mu ostatnich sakramentów. „To na drogę — powiedziała matka — zobaczysz, że zaraz będziesz zdrowszy." I istotnie chory stał się spokojniejszy, poprosił o papierosa.

Niecierpliwił się jednakże, kiedy zbliżała się godzina odjazdu. Ubrany i spakowany czekał już na dwie godziny przed czasem. Jakby na nieszczęście zamówiony samochód zajechał dopiero na kilka minut przed odjazdem pociągu do portu. Bocznym drzwiczkami dopadliśmy wagonu i nie szukając zarezerwowanych miejsc usiedliśmy w korytarzu na walizkach. Byliśmy bez tchu, ojciec wyczerpany usiadł na kufrze. On się najbardziej niecierpliwił i skamrał**) w samochodzie. Żeby zdążyć do pociągu musiałem go przynaglić szorstkim: „Przestań jamrać***), boś nie jest baba."

W porcie sprowadziłem dla ojca wózek. Usiadł na nim bez szemrania i dał się wieźć posłusznie przez komorę celną i biuro kontroli paszportów. Na statek wszedł po trapie o własnych siłach. Ale gdy tylko stanął na pokładzie, zatoczył się i musiał usiąść. Dyszał długo. Zaprowadziłem go następnie do kajuty. Położył się natychmiast i poczuł wygodnej. Nad ranem musieliśmy otworzyć wentylatory, bo mało miał powietrza.

Pociąg ruszył z portu poprzez płaskie łąki Holandii. Od czasu do czasu mijaliśmy statek płynący kanałem w głąb lądu. Za chwilę pędziliśmy przez Rotterdam. Przez okno widać było nowe śródmieście, nowoczesne i okazałe gmachy, przestrzenne place i szerokie jezdnie. Ale po co się nad tym wszystkim rozwodzę? Może pana nudzę?

— Bynajmniej. Niech pan śmiało wszystko mówi. Mamy czas.

— A mój czas się kończył. W Rotterdamie miałem wysiąść z pociągu. Ojciec siedział zrezygnowany i przybity. Cierpiał widać, choć nic nie mówił. Pocieszałem go obietnicą rychłego przyjazdu. Przyrzekałem posłać lekarstwo. Przyjmował wszystko bez wrażenia. Nie wiem, czy ogarnęło go zwątpienie, czy też zamroczyła choroba, tak że na nic nie reagował. Kiedy go pocałowałem na pożegnanie, nawet oczu nie otworzył. A ja wiedziałem, że go więcej nie zobaczę!

Na pustym peronie w zimne rano stałem spoglądając za odjeżdżającym pociągiem. W oknie matka powiewała chustką. Traciłem ojca na zawsze.

Potem nastąpiły dni zawieszenia. Przyszły listy o szczęwym powrocie. Ginący organizm zdobył się na ostatni wysiłek. Ojciec, na swoim, wśród znajomych i rodziny poczuł małą poprawę. Raz spróbował nawet chodzić po sadzie między swoimi drzewami. O czym myślał patrząc gasnącymi oczami na niedawno ukończony domek i na ogród pełen życia? Czy czuł żal na widok schludnych zabudowań, zagospodarowanego pola i wypielęgnowanego sadu, że cały wysiłek człowieka aby urządzić sobie życie idzie na marne? „Nie znacie bowiem dnia ani godziny..." Czy pomyślał, że gdyby mógł raz jeszcze zacząć od nowa, tak samo by pojmował życie jako porządkowanie i ustawianie rzeczy materialnych? Czyż porządek ducha nie wywodzi się z kontemplacji porządku materii?

Wreszcie przyszedł telegram. W niedzielę świeciło słońce i była cisza poobiednia, kiedy zajechał goniec na motocyklu. Brutalna prawda przedarła się wreszcie przez łudzącą osnowę niepewności. Dzisiaj go pochowano. Kiedy wstąpiłem do lokalnego kościoła, była akurat Msza żałobna i wyprowadzenie trumny na cmentarz. Postanowiłem przyłączyć się do pogrzebu i tu, tysiąc kilometrów od rodziny, spełnić ostatnią powinność. Teraz pan wie wszystko. Przepraszam, że obciążam cudzą troską, bo któż z nas nie ma własnych utrapień?

— Jestem głęboko wdzięczny za zaufanie, którym mnie pan obdarzył, i szczerze współczuję.

Uścisnąłem mu rękę. Posiedział chwilkę w milczeniu. W końcu spojrzał na zegarek i wstał. Podniosłem się również. Zapłaciwszy wyszliśmy na ulicę. Przestało padać. Czuć było świeżość powietrza. Na jezdni i na chodniku stały kałuże wody.

— Pan mi tak szczerze wszystko opowiedział, że chciałbym spytać o coś, co mnie niezmiernie ciekawi. Czy mogę?

— Niech pan pyta.

— Torebka papierowa, którą pan wrzucił do grobu.

— Więc pan zauważył! A wydawało mi się, że nikt nie patrzy. W torebce była fajka.

— Fajka?

— Tak. Zwykła fajka z wiśniowego drzewa.

— Pamiątka po ojcu?

— Nie, nie pamiątka. Próba naprawienia przeszłości. Widzi pan, ojciec był zawziętym palaczem. Kiedy go odwiedziłem raz w szpitalu, prosił mnie o fajkę. Chciał małej, zgrabnej fajeczki. „Po co ci fajka?" — odpowiedziałem. „Ty już nigdy więcej nie będziesz palił."

Nie zrozumiał tonu mojej wypowiedzi. W dalszym ciągu rozwodził się nad zaletami dobrej fajki. Więc kupiłem. Ale nie taką, jaką chciał. Tanią, z dużego domu towarowego, gdzie sprzedają tandetę. Zbyłem go jak dziecko, a on cieszył się z fajki, ważył ją w ręku, brał do ust i orzekł, że właśnie takiej zawsze pragnął.

Dzisiaj idąc na cmentarz zobaczyłem w oknie wystawowym śliczną fajkę. Taką powinienem był kupić ojcu w ostatnim podarunku. Nie namyślając się długo, wszedłem do sklepu i nabyłem ją. Cudo! Główka maleńka, drzewo wyborowe. Na szczęście miałem przy sobie dość pieniędzy. Jestem pewien, że się ojcu naprawdę podoba.

— Na pewno.

— Zaspokoiłem pańską ciekawość. Czas iść.

Nadjechał autobus. Jakby w nagłym przypływie zawstydzenia, nieznajomy ujął pośpiesznie moją rękę i wskoczył do pojazdu nie oglądając się za siebie.

Wracałem do domu zamyślony, lecz nie smutny. W kałużach wody pełno było pożółkłych liści i przeglądało się w nich niebo. Sine, listopadowe, ale zawsze niebo.

Florian Śmieja

**) narzekał — w gwarze śląskiej.
***) stękać — w gwarze śląskiej.

K L I M K O W S K I

MÓWI SIĘ, że literatura jest zwierciadłem życia, a pamiętniki — najwartościowszym dokumentem czasu. To utarte mniemanie wydaje się być błędne. Literatura tylko w skromnej mierze obrazuje życie, a pamiętnikarstwo, jedna z gałęzi literatury, przypuszczalnie znacznie bardziej zniekształca niż utrwala prawdę. Nawet pojęta naukowo historia jest tylko wyborem wydarzeń i zupełnie swobodnym ich wiązaniem i tłumaczeniem. A cóż dopiero pamiętnik! Pamiętnikarz nie krępuje się ani wyborem ani wagą faktów. Wybiera je dowolnie nie stosując żadnej skali. Jeśli mu potrzebne laury, rwie gałązki laurowe, jeśli łopuch i pokrzywa, zbiera naręcza zielska. Pamiętniki to jakby krzywe zwierciadło historii. Celem pamiętnikarza jest albo czyjaś (zwykle siebie samego) pochwała lub nagana, udowodnienie lub obalenie jakiejś z góry założonej sobie tezy, albo zabawienie czytelnika niezwykłymi zdarzeniami, czy po prostu własną fantazją. W tym celu autor szuka niezwykłości i plastyki, wyolbrzymia rzeczy błahe, zataja czasem doniosłe, słowem koloryzuje i w ogóle wyszywa własne obrazki na kanwie historii. Prawda historyczna jest tylko pozorem dla pióra pamiętnikarza. Pamiętnikarstwo to ze wszystkich gatunków literatury bodaj najfantastyczniejsza.

W chwili obecnej literatura polska wstąpiła w fazę pamiętnikarską. Proza literacka przygasła w Polsce niemal doszczętnie, dramat ledwie buzuje, palą się tylko kolorowe płomyki poezji. Na miejsce fikcji weszło pamiętnikarstwo, a nawet większość powieści i opowiadań to zbeletryzowane pamiętniki z okresu wojny i lat ją poprzedzających. Wśród nowości wydawniczych, nie licząc przekładów, na każde dziesięć tomów przypada zapewne siedem pamiętników. Odpowiadają one zresztą potrzebom czytelników starszych i młodszych: pierwsi pragną sobie przypomnieć i wyjaśnić wydarzenia, jakie miały miejsce za ich pamięci, młodsi zaś są ciekawi niedawnej przeszłości i źródeł obecnego porządku. Zamiłowanie i moda na pamiętniki nie ograniczają się bynajmniej do Polski. To zjawisko powszechne. „Bestsellerami" angielskimi, amerykańskimi i francuskimi są wspomnienia dowódców i polityków z okresu ostatniej wojny, a oświetlenia „Battle of Britain", kampanii libijskiej, włoskiej i zachodnioeuropejskiej cieszą się w Anglii od kilkunastu lat niezmiennym zainteresowaniem.

Na fali tego zainteresowania wypływają też aktorzy podrzędni, często nawet statyści i nieważni świadkowie. Im aktor podrzędniejszy, tym wolniej puszcza wodze fantazji, kokietując czytelników zmyślonymi lub mocno koloryzowanymi faktami, uwypuklając w nich własne znaczenie i rolę, i mieszając bez ceremonii fakty z anegdotami. Przy czym najłatwiejsze powodzenie zdobywa paszkwil, nieumiarkowana i nieodpowiedzialna krytyka, donos, kłamstwo i oskarżenie.

O kampanii wrześniowej, powstaniu warszawskim, walkach 2 Korpusu i 1 Korpusu wydano już w Polsce bibliotekę przeważnie mocno stronniczych pamiętników. Z zasady każdy autor trafnie przewidział wydarzenia i doskonale ocenił położenie i gdyby posłuchano jego wspaniałych rad, wojna by się zapewne skończyła triumfem Polaków. Skoro jednak założymy, że pamiętnik nie może zawierać pełnej prawdy i tylko prawdy. gdyż jest to dzieło bądź co bądź fikcji literackiej, możemy jedynie oczekiwać innych, mniej stronniczych i bardziej sprawiedliwych świadectw, czy też polemik.

Gorzej natomiast z paszkwilami. Ten rodzaj, nie tyle pisarstwa, co pisania, pogardzając świadomie prawdą, jad swój kieruje albo przeciw jakiejś wybitnej postaci historycznej, wysławiając inne dla tym większego kontrastu, lub odwrotnie, malując czarne tło, jasnymi w swoim pojęciu barwami przedstawia wybitną postać. Paszkwilanci krajowi takimi jasnymi, w ich pojęciu, farbkami malują portret generała Sikorskiego, rzekomo zmierzającego do zgody z Rosją Sowiecką za każdą cenę, przeciwstawiając mu niemal wszystkich innych przywódców i dowódców emigracyjnych, i odwrotnie, jako diabła rogatego rysują gen. Andersa, wokół którego lata rój zakochanych w Związku Radzieckim aniołków. Oczywiście, dla pomocy naczelnemu Belzebubowi zostawiają owi skrybowie kilku czarnych pomocników, uwijających się koło kotłów z gotującą się smołą nienawiści do socjalizmu. Za takiego gorliwego diablika uważają — risum teneatis — prof. Kota. Biedny profesor Kot! Lawirował, lawirował, aż go wszyscy zaczęli uważać za złego ducha. I Moskwy i Londynu.

Ministerstwo obrony narodowej w Warszawie wydało pół roku temu paszkwil Jerzego Klimkowskiego pt. „Byłem adiutantem gen. Andersa". Niemalże jedyne, co na tych plugawych 380 stronicach druku jest, niestety, niewątpliwą prawdą to tytuł, Istotnie, porucznik taborów Klimkowski zdołał do tego stopnia wkraść się w zaufanie generała Andersa, że ten uczynił go swym najbardziej zaufanym oficerem do zleceń. I nie rejestr najniezwyklejszych zbrodni, przestępstw, brudów, plugastw, frywolności, diamentów wielokaratowych i złotych papierośnic, żmudnie skolekcjonowanych na 380 stronach elaboratu Jerzego Klimkowskiego, obciąża Generała, bo w oczy się rzuca, jak to wszystko nikczemnie zmyślone, lecz sam tytuł książki. Jak to się mogło stać, że ten półanalfabeta, a w każdym razie półinteligent, który o wybuchu wojny „dowiedział się oficjalnie z gazet", dla którego Bristol leży w Irlandii, a Kair jest „stolicą faraonów", ów infantylny samodur, kasynowy intrygant i donosiciel mógł zostać zausznikiem jednego z najwybitniejszych dowódców? Więcej nawet: jak gen. Anders mógł tolerować zabawę w gwardię pałacową pana Klimkowskiego, któremu dowództwo pułku ułanów tak uderzyło do głowy, że rzucił się do organizowania zamachu stanu i snuł marzenia nie tylko o fotelu ministra, ale zapewne też premiera?

Odpowiedzialność za dopuszczenie do konfidencji tego małego agenta pada zresztą nie tylko na Generała. Józef Czapski pisząc recenzję o książce Klimkowskiego w „Kulturze" wspomina go przyjaźnie, niemal serdecznie jako „Jurka". Wyrafinowany intelektualista Czapski znajdował się kiedyś pod niewątpliwym urokiem tego półinteligenta, to samo da się powiedzieć o wielu innych znanych w życiu cywilnym ułanach-rezerwistach, a także o niektórych redaktorach „Orła Białego".

Rotmistrz Klimkowski (awans otrzymał w Rosji) założył przecież półjawną mafię „młodych" w wojsku i nie było dla nikogo w Armii Polskiej na Wschodzie tajemnicą, że loża czy junta pod zawołaniem „Salus Reipublicae suprema lex esto", której maksymy systematycznie drukował w obwódkach „Orzeł Biały", tj. organ oficjalny Armii, krytykuje rząd i naczelne dowództwo, zmierza do usunięcia Naczelnego Wodza w drodze zamachu stanu i planuje utworzenie „rządu młodych" w Londynie. Autor tych słów wie o tym nie z żadnych gadek, ale od samego rotmistrza Klimkowskiego, który mu w trzygodzinnej oracji rozwijał swe plany w willi gen. Andersa na przedmieściu Bagdadu — Waziriyah.

I teraz tenże Klimkowski łże w żywe oczy, że to właśnie on żelazną piersią ochraniał gen. Sikorskiego przed zakusami gen. Andersa i że dlatego gen. Anders doszedł do wniosku iż „należy p r z e d e w s z y s t k i m pozbyć się mojej [Klimkowskiego] osoby" (str. 337), czego wszakże nie potrafił uczynić, bo by Klimkowski „poruszył wszy-

stkie przychylne mu czynniki". A wszak przywódca ułanów ze swojego pułku i części zespołu redakcyjnego „Orła Białego" w czasie inspekcji Naczelnego Wodza na Wschodzie wydał swemu pułkowi nie tylko rozkazy bojowe, ale i ostrą broń. Warto by jednak wreszcie naświetlić rolę tego warchoła, bo sieje on w Polsce, mimo wszystko, zamęt swymi brudnymi rewelacjami. Warto tym bardziej, że Jerzy Klimkowski nie był tylko, jak to twierdzi mjr Czapski, ambitnym postrzeleńcem, ale przypuszczalnie marionetką w rękach sowieckich, wtyczką Kremla w dowództwie Armii Polskiej na Wschodzie. A jeśli nie był już wtedy, został niewątpliwie jeszcze w czasie gdy nosił mundur rotmistrza ułanów w Palestynie i gdy po skazującym go wyroku sądu polowego knuł swą zemstę oddając się na usługi propagandy stalinowskiej. Z dumą wspomina w swym paszkwilu, jak to kiedyś sam „marszałek Stalin" przepijał na Kremlu do niego jako przedstawiciela młodych oficerów polskich. Temu to marszałkowi zapewne służył rtm. Klimkowski w czasie, gdy pod hasłem „Salus Reipublicae" bałamucił młodych ułanów i dziennikarzy, a także bodaj i swego dowódcę.

Różnice, jakie istniały między generałami Sikorskim i Andersem, zwłaszcza na temat ewakuacji wojska i ludności cywilnej z Sowietów, są doskonale znane i wszelkie na ten temat wynurzenia Klimkowskiego nie stanowią żadnych rewelacji. Gen. Anders miał wszelkie prawo do różnienia się w wielu poglądach z gen. Sikorskim, i wcale mu to ujmy w perspektywie historii nie przynosi. Był jednak zawsze lojalnym żołnierzem. Niepotrzebnie tylko w swe prywatne poglądy wtajemniczał podkomendnych pokroju Klimkowskiego.

J. B.

KSIĄŻKI

„DOKTOR ŻIWAGO"

Piękno duszy Borysa Pasternaka przewyższa niewątpliwie piękno jego twórczości. Odwaga i siła moralna stoją wyżej od wartości literackich jego słynnej powieści. Przez czterdzieści lat straszliwego zamętu, poprzez pustynię moralną, jaką pozostawiła po sobie rewolucja, przeniósł on arkę przymierza wolnego sumienia. Nie dotarł, co prawda, do ziemi obiecanej, ale osiągnął najwyższy cel życia: dał świadectwo prawdzie i wierze. I oto z ziemi sowieckiej rozeszło się na cały świat w dziesiątkach milionów najpoczytniejsze dziś dzieło wyrosłe z żywej wiary. Poezji religijnej Pasternaka mogłyby pozazdrościć Rosji wolne chrześcijańskie narody, choć z pewnością nie wypowiada ona najczyściej nauki Kościoła rzymskiego. To najbardziej zdumiewająca wartość „Doktora Żiwago", raczej przemilczana przez krytykę.

Światu zaimponowała ta książka przede wszystkim przez odtworzenie prawdziwego obrazu rewolucji bolszewickiej. Ale przecież z „Doktora Żiwago" nie wynika bynajmniej, że Pasternak był wrogiem rewolucji. Owszem, jasne duchy jego fikcji stały po jej stronie, a w każdym razie nie po przeciwnej. Tyle, że doznały rozczarowania z powodu metod, z powodu wypuszczenia cugli z rąk przez przywódców, skutkiem tego, że kryształowe pozory granitowych ideałów stajały w błoto krwi bratobójczej i kałuże podłości i zbrodni. Przez to, że rewolucja nie spełniła obiecanek i nadziei. „Rzecz w tym, Łarisa Fiodorowna — mówi Żiwago — że wszystko ma swoje granice. W ciągu tego czasu należało dojść już do jakichś wyników. Okazało się zaś, że chaos przemian jest jedynym rodzinnym żywiołem przywódców rewolucji, że chcieliby czegoś takiego w rozmiarze kuli ziemskiej. Przebudowa światów i okresy przejściowe są dla nich celem samym w sobie. Niczego więcej nie uczyli się, niczego więcej nie umieją. A wiecie skąd pochodzi jałowość tych wiecznych przygotowań? Z braku określonych zdolności, z braku talentu. Człowiek rodzi się, aby żyć, a nie przygotowywać się do życia. I życie, samo zjawisko, dar życia, jest rzeczą tak porywającą i poważną! Po co więc zastępować je przez arlekinadę niedojrzałych pomysłów na poziomie uczniów u Czechowa uciekających do Ameryki?"

Tak więc „Doktora Żiwago" nie można traktować jako książki w założeniu przeciwrewolucyjnej, skoro to tylko oskarżenie jej metod. Nie jest ona wcale potępieniem komunizmu, lecz błędów jego realizacji. „Marksizm nie panuje nad sobą, aby być nauką... Marksizm i obiektywizm! Nie znam prądu bardziej zamkniętego w sobie i odległego od faktów jak marksizm. Każdy stara się sprawdzić swe myśli konfrontując je z doświadczeniem, ludzie władzy natomiast, dla podtrzymania mitu swej nieomylności, jak tylko mogą uciekają od prawdy."

Można by rzec, że książka Pasternaka jest buntem, ale i żalem z powodu zwyrodnienia komunizmu, uczynienia zeń wszystko regulującej doktryny, religii materializmu, która wypowiedziała wojnę prawu natury i wierze mającej źródło w Bogu. „Przeobrażenie życia! O tym mogą mówić tylko ludzie, którzy, być może, niejedno widzieli, ale którzy nie poznali nigdy ducha, sensu życia. Życie jest dla nich kawałem grubego, surowego materiału, wymagającego obróbki. Życie zaś nigdy nie jest materiałem. Życie, jeśli chcecie wiedzieć, jest czymś co się wiecznie samo przeobraża, przetwarza i odnawia. Jest czymś stojącym powyżej wszystkich naszych kretyńskich teorii". Ta myśl Pasternaka nie oznacza, rzecz jasna, kultu jakiegoś witalizmu czy egzystencjalizmu, gdyż wyraźnie podkreśla rolę „ducha, sensu życia". Wynika ona z założeń chrześcijańskich. Innymi słowy, „Doktor Żiwago" jest dramatem chrześcijanina, który wierzył w słuszność celu rewolucji i możliwość realizacji komunizmu jako idei społeczno-politycznej w zgodzie ze swą wiarą. Samej doktryny społeczno-gospodarczej ani doktor Żiwago ani jego przyjaciele nie odrzucili nigdy. Odstręczała ich natomiast zawsze metafizyka komunizmu. Nie zdawali sobie sprawy, że komunizm nie ograniczy się do roli systemu politycznego, że w dążeniu do urządzenia całego życia weźmie na siebie rolę nowej wiary, zmierzającej przede wszystkim do obalenia starej. Zwolennicy komunizmu nie pomyśleli wcześniej, a może nawet nigdy, że synkretyzm chrześcijańsko-komunistyczny nie da się pomyśleć, gdyż komunizm nie zamierza przewyższyć wiary miłością człowieka, ale pragnie obalić ją nienawiścią. „Doktor Żiwago" to spowiedź z tego zawodu, spowiedź chrześcijanina, który usiłował być komunistą.

Nie należy jednak zapominać, że „Doktor Żiwago" jest ostatecznie powieścią historyczną. Do historii należą już w Sowietach nawet ludobójcze łagry w ich dawnej formie. Oficerowie armii czerwonej mogą więc swobodnie mówić do siebie: „Wyobraź sobie, że całe to krwawe piekło było niezmąconym szczęściem w porównaniu z okropnościami obozu koncentracyjnego... Wojna z jej rzeczywistymi okropnościami, niebezpieczeństwem i groźbą oczywistej śmierci była lepsza od nieludzkiego panowania fikcji, przynosiła ulgę, bo ograniczała czarnoksięską potęgę martwej litery."

Czasowi teraźniejszemu poświęcił autor zaledwie kilkanaście linijek ostatniego rozdziału epilogu, gdzie znajdują się m. in. słowa: „Jakkolwiek świt i wyzwolenie, których oczekiwano po wojnie, nie przyszły razem ze zwycięstwem, poczucie wolności przenikało wszystkie lata powojenne i było ich

jedyną treścią historyczną." Przyjaciołom Moskalom zdawało się, że „swoboda ducha już nadeszła", toteż przeniknęło ich „pogodne, tkliwe uczucie spokoju o losy tego świętego miasta i całej ziemi... **I znajdująca się w ich rękach książka zdawała się o tym wiedzieć i utwierdzać ich w tych uczuciach."**

Borys Pasternak nie przewidział, że jeszcze jeden dodatkowy rozdział epilogu dopisze władza sowiecka: książka, której autor się łudził, że „swoboda ducha już nadeszła", nie ukazała się drukiem w ojczyźnie, a władza sowiecka wydała o niej wyrok jako o przestępstwie i zdradzie.

Czy można zatem określić „Doktora Żiwago" jako dzieło literatury chrześcijańskiej? Tylko do pewnego stopnia. Pisał ją niewątpliwie wierzący chrześcijanin, dla którego najwyższe normy moralne wypływają z Objawienia. Ale jest to zarazem książka błądzącego chrześcijanina, który po czterdziestu latach gwałcenia praw Boskich i ludzkich przez szalejący bolszewizm nadal, mimo wszystko, wierzy w możliwość pogodzenia go z nauką Chrystusa i ze swobodą ducha. Pasternak nie jest zresztą w tym przekonaniu odosobniony. Hołduje mu mnóstwo światłych umysłów na Zachodzie, a także i w Polsce. Oczywiście, nie spierajmy się o nominalizm i o to, czy naukę Marksa i Lenina nazwać bolszewizmem, komunizmem, socjalizmem, czy dialektycznym materializmem. Źródło i cel ostatecznie pozostają te same.

„Doktor Żiwago" nie jest więc bynajmniej dziełem wroga komunizmu, lecz raczej rozczarowanego kochanka. Książkę tę można uważać za dzieło chrześcijańskiego rewizjonisty, czy też chrześcijańskie odchylenie marksizmu.

Wartość literacką „Doktora Żiwago" bez wątpienia przesadzono, choć nie brak było w krytyce światowej także chłodnych zastrzeżeń. Powieść wykazuje jaskrawe wady kompozycji: niepotrzebnie rozdęta do wielostronicowego tomiska, plącze się w wielu nieważnych szczegółach i szkicowaniu plejady postaci, które nie grają żadnej roli. Utarło się nazywać takie powieści „romansami-rzekami", ta zaś rozlewa się w swym długim biegu w liczne jeziorka liryczne i sentymentalne. Nie można jej uważać za klasyczny epos, bo bez trudności odczytać z niej można autobiografię pisarza, co zresztą pieczętuje dodanie do powieści zbioru jego wierszy lirycznych, przypisanych dość niezgrabnie czołowemu bohaterowi powieści.

Pasternak jest przede wszystkim poetą, toteż do najpiękniejszych stron „Doktora Żiwago" należą opisy epickie — krajobrazu rosyjskieyo, scen wojennych i rewolucyjnych — oraz partie liryczne, głównie erotyczne. Ale pisarz daleki jest od realizmu. Jego liryzm powieściowy bardzo przypomina Żeromskiego. W ogóle „Doktora Żiwago" można śmało porównać z „Popiołami".

Technika powieści Pasternaka jest tak staroświecka, że ma się wrażenie, jakby autor świadomie nawiązywał do prozy dziewiętnastowiecznej lekceważąc to wszystko co zaszło, także w jego ojczyźnie, w ciągu półwiecza. Ale i ta uwaga nie oddaje pełnej sprawiedliwości „Doktorowi Żiwago". Staromodność tej powieści można bowiem przesunąć do czasów jeszcze wcześniejszych — pierwszych powieści romantycznych. Po pierwsze dlatego, że akcja rozwija się na zasadzie nieprawdopodobnych przypadków. Na olbrzymim kontynencie Rosji postacie Pasternaka spotykają się w najnieoczekiwańszych miejscach i sytuacjach. Oprócz tła historycznego jedynymi właściwie wątkami powieściowymi są te przypadki. Wszystkie inne wydarzenia mają również charakter niezwykłości, niemalże cudowności. Osoby, któreśmy uważali za nieżyjące, nagle pojawiają się znowu pełne sił i zdrowia, tak właśnie jak np. w „Malwinie". Potrafią one pokonać najbardziej niezwykłe niebezpieczeństwa, wyjść cało z najgorszej przygody. Cudowne spotkania i wystąpienia sztucznie rozwiązują konflikty i popychają akcję.

Autor nie potrafiąc uporać się na sposób epicki z psychologią postaci, a więc poprzez opis ich postępowania, posługuje się szczodrze komentarzem odautorskim, wyjaśniając stany duchowe osób, wcześniejsze przyczyny i dalekie skutki wydarzeń czy postępków i oświecając czytelnika co do rzeczy i spraw, których bohaterowie nie mogą dostrzec i odczuć.

Przykładem niezręczności psychologicznej autora jest wątek erotyczny „Doktora Żiwago". Zdradę uwielbianej żony przez doktora można tłumaczyć chyba jako pretekst do rozwlekłych lirycznych upustów w duchu romantycznym i w stylu cierpień młodego Wertera. Równie skomplikowany jest stosunek Łarisy Fiodorowny i Antipowa.

„Doktor Żiwago" z pewnością nie należy do arcydzieł literatury rosyjskiej, ani tym bardziej europejskiej. Sławę i niezwykłe powodzenie zawdzięcza okolicznościom, w jakich ta książka została napisana i wydana. Nie można jej jednak odmówić znamion wysokiej kultury pisarskiej, nie dostrzec mistrzowskich opisów, a nade wszystko wspaniałych wartości moralnych.

Przekład polski Pawła Hostowca można by w pełni ocenić tylko w porównaniu z oryginałem. Bez tego wydaje się bardzo polerowny, choć tu i ówdzie zdradza ślady pośpiechu. Wiersze przełożył Józef Łobodowski, pięknie i z miłością.

Jan Bielatowicz

Borys Pasternak DOKTOR ŻIWAGO. Przełożył z rosyjskiego Paweł Hostowiec. Wiersze w przekładzie Józefa Łobodowskiego. Instytut Literacki, Paryż 1959. Stron 512.

ANIOŁ JÓZEF RONCALLI

Oto wyczerpująca biografia człowieka, który od czasu wstąpienia na tron papieski zdobywa powszechną sympatię i uznanie nie tylko w krajach katolickich, ale także wśród ludzi wszystkich wyznań i narodów, skądinąd bardzo luźno związanych z Rzymem.

Andrea Lazzarini, autor życiorysu Jana XXIII — od trzydziestu lat kierownik działu literackiego „Osservatore Romano", jest z wykształcenia historykiem. Ze specjalnym upodobaniem maluje tło — dzieje starożytnego Bergamo, niegdyś jednego z ośrodków starej kultury Etrusków.

Bergamo jest dziś „miastem artystów". Choć administracyjnie zalicza się do Lombardii, jakże inni są jego mieszkańcy od reszty prowincji. Uśmiechnięci, serdeczni, łatwi w stosunkach towarzyskich, kochają muzykę i malarstwo. Mają też wiele zapału dla spraw szlachetnych i rzeczy niezwykłych: kiedy Franciszek Nullo tworzył oddział, by przyjść z pomocą powstańcom 63 roku w Polsce, najwięcej ochotników znalazł w Bergamo...

Z okolic Bergamo, ze wsi Roncaglia di Cepino w dolinie Imagna, wywodzą się przodkowie papieża. Pracowali na roli. Byli wśród nich też księża, zakonnicy, lekarze i malarze artyści.

Angelo Giuseppe Roncalli przyszedł na świat w Sotto il Monte, jako najstarszy z dziesięciorga dzieci Jana i Marianny z domu Mazzola. W domu rodziców często panowała bieda: „...na stole nie było nigdy mięsa, wina ani deseru... byliśmy jednak szczęśliwi". Angelo był zdolnym chłopcem. Że będzie księdzem, przypuszczali wszyscy od początku. W kościele parafialnym z proboszczem czytał psalmy, u innego księdza uczył się początków łaciny. Był dobrym uczniem. Droga do szkoły w Celano była długa na siły dziewięcioletniego chłopca: szedł dwie godziny w jedną stronę. Do domu wracał najczęściej po ciemku. Lekcje odrabiał przy świecy. Kiedyś otrzymał list od ojca, który miał wręczyć kierownikowi szkoły. Znużony, usiadł przy drodze, przeczytał i dowiedział się, że przestanie chodzić do szkoły, że zostanie z ojcem na gospodarstwie. Podarł list. Wkrótce został przyjęty do małego seminarium w Bergamo.

W okresie powszechnej obojętności dla spraw społecznych, która była rezultatem panującej wówczas doktryny liberalizmu społecznego i antykatolickiej postawy administracji rządowej, kwitła już wtedy w Bergamo dobrze zorganizowana działalność licznych komórek życia katolickiego: były towarzystwa wzajemnej pomocy, kluby robotnicze, biura porad, kooperatywy rolne, nawet piekarnia diecezjalna, mleczarnia i bank, udzielający pożyczek będącym w potrzebie. W oczach młodego kleryka Kościół ukazywał się jako instytucja prawdziwie społeczna, ogarniająca wszystkie przejawy życia, nie tylko religijnego, łącząca w sobie wysiłki hierarchii i świeckich działaczy. To na wskroś nowoczesne pojęcie Kościoła wyniósł A. Roncalli z ostatniego zwłaszcza okresu życia studenckiego, kiedy zetknął się osobiście z działaczami katolickimi ze związków zawodowych prasy i Diecezjalnej Unii Studiów Społecznych. Już przy końcu XIX wieku tworzono w Bergamo podwaliny nowoczesnej Akcji Katolickiej, która powoli ogarnęła całą Italię i rozszerzyła się na inne kraje.

Na studia do Rzymu kleryk Roncalli przyjechał w Roku Świętym 1900, który rozpoczynał erę postępu i wiary w lepszą przyszłość i odrodzenie narodów. We Włoszech zaś oznaczał początek gruntownego renesansu katolicyzmu przez rozwinięcie olbrzymiej działalności społecznej, mającej na celu odbudowanie życia religijnego w Italii i powolne zdobywanie na nowo wszystkich warstw narodu włoskiego dla Kościoła. Nowością w tym czasie było formowanie nowych niezależnych organizacji katolickich. W ogniu walk, które wybuchały w starciu z liberalizmem ekonomicznym i antyklerykalizmem, Angelo Roncalli, już wówczas kapłan, wyrabia się pod kierunkiem wielkiego biskupa Radini-Tedeschi, w którego diecezji wówczas pracuje. Jest świadkiem poważnych starć między władzami cywilnymi a masą robotników rolnych. Biskup i jego młody sekretarz — opowiadają się za zasadą wolności i swobody działania chrześcijańskich organizacji pracowniczych. (Wkrótce po swoim wyborze obecny Papież nakazał przyznać wszystkim robotnikom Watykanu bonus w wysokości miesięcznych zarobków. Po raz drugi bonus przyznano po koronacji. 1. 7. 1959 nastąpiła podwyżka 100% dotychczasowych zarobków robotników w Państwie Watykańskim.) Przez siedem tygodni strajku w Ranica — biskup Radini Tedeschi jak mógł popierał robotników rolnych, łożąc na ten cel znaczne fundusze.

* * *

Angelo Roncalli już jako młody ksiądz łączył w sobie entuzjazm dla spraw społecznych z pasją dla historii Kościoła. Wtedy zaczyna studia nad dziejami kościelnymi w Bergamo. Czyta zwłaszcza o okresie kontr-reformacji, kiedy odradzało się życie Kościoła. Pasja do książek o historii Bergamo nigdy nie wygaśnie. Później już, jako nuncjusz papieski w Paryżu, razem z Robertem Szumanem szpera u sprzedawców starych druków. Nawet dziś zagląda do biblioteki watykańskiej z kardynałem Tisserant. Gra tu rolę nie tylko bezinteresowna miłość do szczegółów historycznych bliskiego sercu Bergamo, ale także chęć badania zapoczątkowanego w XVII stuleciu ruchu, który dawał podwaliny i tradycję historyczną dla nowoczesnej Akcji Katolickiej.

Historia jest ważna. Obca wielowiekowym tradycjom dawnych Włoch ideologia Risorgimento, czysto świecka i antyklerykalna polityka administracji „Młodych Włoch" w drugiej połowie XIX wieku — odsunęły katolików od wpływu na życie polityczne. Na tym tle wyrasta znaczenie Akcji Katolickiej.

Zasada powstrzymywania się od udziału w państwowym życiu politycznym i parlamentarnym była przez wiele lat oficjalnie zalecaną przez Watykan linią postępowania katolików włoskich. Jeszcze w niespełna dwadzieścia lat po rewolucji 1848 r. program katolików wyrażał tylko opozycję w stosunku do panującego reżymu: „niech nikt nie głosuje ani nie pozwala się wybierać". Po zbrojnej inwazji Rzymu dwaj posłowie katoliccy poczuli się zmuszeni opuścić parlament na znak protestu, a w 1874 r. dekret Stolicy Apostolskiej nałożył na katolików wyraźny obowiązek powstrzymania się od wyborów do parlamentu. Nie był to wyłącznie bierny opór. Gdy w wyborach parlamentarnych 1895 roku 60 proc. wyborców powstrzymało się od głosowania, rezultat był taki, że w dwudziestu prawie okręgach nie wystawiono w ogóle kandydatów. W tym samym roku w Bergamo, dzięki doskonałej frekwencji przy wyborach do władz miejskich i prowincjonalnych, katolicy zdobyli absolutną większość.

Dopiero w czerwcu 1905 r. papież św. Pius X zapowiedział możliwość brania w przyszłości czynnego udziału katolików w życiu państwowym. Cokolwiek robiono przed tym nie przekraczało szczebla lokalnego. Ale wyniki były imponujące: 774 katolickie stowarzyszenia wzajemnej pomocy, 107 związków robotniczych, 69 banków, 835 kółek rolniczych itd.

W okresie pierwszej wojny światowej ks. Angelo Roncalli był kapelanem w szpitalu i profesorem seminarium.

Wśród zadań powierzonych mu po wojnie była troska o sprawy Kościoła w Belgii, Holandii i Niemczech. Papież Pius XI, który znał biskupa Roncalli ze spotkań w Bibliotece Ambrozjańskiej, powołuje go na stanowisko w Papieskim Dziele Rozkrzewiania Wiary.

Później przychodzi praca w Bułgarii, gdzie arcybiskup tytularny Roncalli został mianowany wizytatorem apostolskim, a w kilka lat później delegatem apostolskim. Następnie jest delegatem apostolskim w Turcji i Grecji. Działalność jego w Turcji przypada na okres wielkich zmian, które zniosły przeszło tysiącletnie tradycje muzułmanów i szybko europeizowały ludność. Praca zaś jego w Grecji napotyka na specjalne trudności. Katolicy ateńscy — to przeważnie potomkowie wielkich rodzin kupieckich z Genui, Wenecji i Pizy. Ich nazwiska oraz religia katolicka to jedyne ślady łacińskości w kraju o helleńsko-bizantyńskiej kulturze i prawosławnej religii. Prawosławie greckie było silnie związane z Anglią. Delegaci Cerkwi greckiej brali udział w konferencjach w Lambeth Palace, siedzibie głowy Kościoła anglikańskiego. Delegat Roncalli umiał łączyć zapał pracy apostolskiej z podziwem dla osiągnięć i instytucji narodowych, doceniał wysiłki akcji charytatywnej i poziom ruchów intelektualnych o szczerze religijnych podstawach. Jego interwencje w czasie drugiej wojny światowej na rzecz ludności żydowskiej w okupowanej przez Niemców Grecji i otwarcie dostaw żywności zjednały mu na zawsze wdzięczność tego kraju.

Znakomitych osiągnięć duszpasterskich i dyplomatycznych dokonał arcybi-

---

*) Pope, John XXIII, by Andrea Lazzarini, Herder and Herder, New York, 1959.

skup Roncalli jako nuncjusz we Francji, gdzie pozostawał przez 9 lat, od końca 1944 r.

* * *

Obecny papież mógłby o sobie powiedzieć, że nie jest mu obce nic, co jest ludzkie. Znana jest jego bezpośrednia serdeczność. Pamiętają Polacy jak witał kardynała Wyszyńskiego w Wenecji, jako gospodarz-patriarcha..

Okazywał żywe zainteresowanie malarstwem modernistycznym z okazji weneckich Biennale. We Francji interesował się Bernanosem, Mallarmé i Rimbaud; umiał rozmawiać z Auriolem i Herriotem i de Gaullem.

Ostatni rozdział książki A. Lazzariniego to tłumaczenie pierwszego po wyborze przemówienia radiowego Jana XXIII. Powiedział wtedy: „Słowo pokój jest pełne słodyczy, ale znaczenie jego leży o wiele głębiej. Jest bowiem wielka różnica między pokojem a niewolą. Prawdziwy pokój j e s t p o k o j e m w w o l n o ś c i.

Wiesław Toporowski

CHARLES DU BOS I GABRIEL MARCEL

Przywódca katolickiej myśli egzystencjalistycznej Gabriel Marcel mówił w londyńskim Instytucie Francuskim o dziele i myśli swego przyjaciela Karola Du Bosa, zmarłego w r. 1939.

Z infleksji głosu, z ciepła wspomnień, z namiętnej gwałtowności przy odparowywaniu ataków domyślić się można było szczerości i temperatury przyjaźni, która łączyła tych dwóch wyjątkowych ludzi. Nie! nie łączyła, lecz łączy — mówi Marcel, którego własne dzieło jest tak ściśle związane ze światem umarłych. „Charlie" jest kimś stale obecnym, kto dalej uściśla, zaokrągla i konkretyzuje swą myśl, szukając we wzruszeniu zrodzonym z kontaktu z wielkim dziełem literackim, malarskim lub muzycznym, jedynej dla niego ważnej rzeczy, owej „musique de chambre de la vie intérieure" (muzyki kameralnej życia wewnętrznego).

Charles Du Bos był krytykiem jedynym w swoim rodzaju. Jego poszukiwania literackie były zawsze w pewnym stopniu poszukiwaniem samego siebie. Stąd też dzieła pewnego typu były nieuniknienie poza zakresem jego duchowej percepcji, taki np. Balzac, Zola, Berlioz. Niewyczerpanym natomiast źródłem wzruszeń i refleksji byli dla Du Bosa romantycy angielscy, a przede wszystkim Keats i Byron, dalej Goethe, Czechow, Claudel, Pater, Pascal i św. Augustyn. W muzyce przemawiał do niego najintymniej Chausson, w malarstwie Watteau, Botticelli i inni. Nie należy jednak interpretować powyższego twierdzenia w sensie niepohamowanego subiektywizmu puścizny literackiej Du Bosa. Był bowiem jednym z najrzetelniejszych i najbardziej oczytanych krytyków przedwojennych. Jego 7-tomowa seria studiów krytycznych pt. „Approximations" (Zbliżenia, nie Przybliżenia) nie jest w żadnym wypadku jakąś niesłychanie pomysłową i błyskotliwą grą intelektu, ale solidnym i wnikliwym dogrzebywaniem się rzeczy najistotniejszych, a rozumieć to należy przez poszukiwania życia wewnętrznego w Bogu. Dlatego łatwo zrozumiemy dlaczego Du Bos pozostawiał w procesie krytycznym tak duże pole dla bezpośredniej intuicji czy iluminacji. G. Marcel twierdzi, że poza Du Bosem nigdy w życiu nie spotkał osoby, która by w trakcie odczytu literackiego tak bez reszty pochłonięta była przez swe dzieło. Robił on wówczas wrażenie człowieka natchnionego, genialnego improwizatora.

Z pochodzenia pół-Francuz, pół-Anglik, świadom swego wyobcowania duchowego z obu światów, schorowany, cierpiący i w trudnościach finansowych, borykał się Du Bos z losem mężnie i wytrwale. Straciwszy wiarę w młodości, przez 9 lat zmaga się z Aniołem dopóki mu wreszcie nie ulegnie w r. 1927, znajdując pokój i „doskonałe wypełnienie" swych tęsknot duchowych. Nawrócenie Du Bosa jest tym ciekawsze, iż było ono bezpośrednio spowodowane przez lekturę dzieł w przeważającej mierze nie mistycznych lub religijnych, ale np. takiego Nietschego! Spiritus flat ubi vult. Jeżeli do tego dojść musiało, to stało się to w pierwszym rzędzie z powodu wrodzonej religijności autora wielotomowego, zgoła niezwykłego „Journalu": „anima naturaliter christiana" — powiedziałby Tertulian.

Nawrócenie przyjaciela wywarło wpływ pośredni na nawrócenie Marcela w r. 1929. Gabriel Marcel pochodzi z rodziny protestanckiej o wysokich tradycjach kulturalnych. Nad jego samotnym dzieciństwem zaciążyła strata matki; 4-letni chłopiec, nie otrzymawszy zadawalającej odpowiedzi na pytanie: „Gdzie jest teraz mama?" oświadcza: „Jak będę duży to ją znajdę"... Życie 70-letniego już Marcela obracało się stale wokół jednej osi, łączącej czas z nieskończonością, teraźniejszość z wiecznością, stworzenie ze Stwórcą.

Głębokie pojęcie roli filozofa, mające coś z kapłaństwa, czyni z Marcela „wiecznego podróżnika", o metafizycznym, ale i realistycznym, wydźwięku tego słowa. „Homo viator" to tytuł jednego z największych jego dzieł. Taki stosunek do swego posłannictwa, zobowiązuje go do pozostawania w stanie stałej dyspozycji względem potrzebujących jego pomocy lub kierownictwa. Tu źródło rozjazdów Marcela po wszystkich kontynentach. Stąd też, po części, jego niechęć do stworzenia własnego systemu, a także i do wszystkich — izmów. Marcel zdaje się czasami tęsknić do systematyzacji swojej myśli; potrafiłby na pewno, ale w jego odczuciu zakrawałoby to na zdradę owego posłannictwa.

Marcel jest płodnym i utalentowanym dramaturgiem. Dramat jego jest według własnej definicji: „dramatem duszy na wygnaniu": znalezieniem się duszy w okolicznościach, w których nie rozpoznaje siebie i nie rozumie. W stanie prostracji duchowej, ostatecznego podważenia własnego ja, zdolna jest dopiero usłyszeć „Apel" i pójść za nim. Najlepiej stan ten ilustrują dwie sztuki: „L'Homme de Dieu" i „Le chemin de Crète". Byłoby błędem wnosić, iż dramat wielkiego filozofa jest tylko ilustracją jego myśli filozoficznej. Przeciwnie, ma walory sceniczne i choć nie należy do teatru rozrywkowego, jest związany z życiem tysiącznymi nićmi. Może najłatwiej nawiązać kontakt z myślą Marcela poprzez jego teatr; ale dodajmy, że żaden z filozofów nie stara się tak jak Marcel, aby swe dzieła uprzystępnić możliwie największej liczbie czytelników. Na szczególną wzmiankę zasługuje „Journal Métaphisique", gdzie notuje etapy drogi ku katolicyzmowi.

„Wyjątkowość" Du Bosa i Marcela polega nie na tym tylko, iż są to dwa genialne umysły, ale przede wszystkim na tym, że obaj, odważnie i bezkompromisowo, podnieśli prymat ducha nad materią w zmaterializowanym wieku XX.

Zdzisław E. Wałaszewski

TEATR

„SHAM"

„Sham". To dosadne krótkie słowo angielskie, jakoś bardziej zdecydowane niż dwusylabowa polska „blaga", cisnęło mi się cały czas na usta, gdy w teatrze Lyric na Hammersmith oglądałem sztukę Diego Fabbri „Processo a Gesù".

Zapewne, sztuka jest bardzo podniosła, ma w sobie momenty prawdziwego wzruszenia, momenty głębokiej intuicji — i jest programowo, szeroko, dobitnie chrześcijańska.

Wszczęty przez starego profesora-Żyda z pomocą jego rodziny przewód sądowy, który ma stwierdzić, czy i w jakim stopniu Jezus z Nazaretu był winny w obliczu hebrajskiego prawa, przeradza się w drugim (i już ostatnim) akcie w przewód sądowy, w którym oskarżonym jest społeczność chrześcijańska połowy XX wieku. Przewodniczący sądu przekształca się w prokuratora, który wtóruje zdumionemu okrzykowi Norwida: „Dziewiętnaście wieków trwasz — i taka pustka?" Jeżeli Jezus z Nazaretu był Barankiem bez skazy, waszym światłem i waszą prawdą i waszym Bogiem, to czemu wy jesteście zgrają, która się Go zapiera na każdym kroku? Sędzia-prokurator mierzy oskarżycielskim palcem w widownię. I widownia „reaguje". Z krzeseł parteru podnoszą się wrogie okrzyki. Z loży odzywa się intelektualista, niedoszły ksiądz, świadek koronny nowego aktu oskarżenia: Jezus był wspaniałym człowiekiem, który powinien był wszystkich nas w Aniołów przerobić, a nie przerobił. Dlaczego? Bo był właśnie tylko człowiekiem. Jego żniwo, owszem, zupełnie do przyjęcia jako żniwo wielkiego człowieka, ale od Boga czegoś więcej byśmy się spodziewali. Z drugiego rzędu odzywa się ksiądz i powiada, że nie jest tak źle, że Jezus jednak przynajmniej zadrasnął powierzchnię cywilizacji. Zbrodnie ludzkości są dziś inne niż przed Jego przyjściem: grzeszymy przynajmniej „po chrześcijańsku". Aktorka, która grała Marię Magdalenę w pierwszym akcie, jest bardziej przekonywująca: ona odczuła Jego miłość. I — rzecz dziwna — odczuła Jego miłość nowoczesna Maria Magdalena, przyjaciółka intelektualisty z loży, i „syn marnotrawny", stękający głupie wyznanie z niewidocznego kątka, i stara sprzątaczka, której rozstrzelali syna i która odważyła się wejść na scenę, by powiedzieć co czuje. A wreszcie — hipersensacja — aktor, który jest w sztuce oskarżycielem Jezusa z Nazaretu, wyznaje, że wydał na śmierć kolegę-aktora, bo kochał się w jego żonie. Czy i on poczuł pod koniec spektaklu, że Jezus na krzyżu dźwigał również jego grzech? Czy i on odczuł przebaczającą miłość — nie zdradzonego Daniela, ale Tego, który jedynie może przebaczać, Jezusa?

To wszystko byłoby głęboko wzruszające, gdyby nie było w tekście. To wszystko przemyślna robota autora, reżysera i aktorów. Fabbri szarpie sumienia, dobiera się do najgłębszych tajemnic intelektualisty i businessmana, i kokoty, i syna marnotrawnego, i MOICH — moich też, ale wszystko jest w tekście, z góry ukartowane. „Sham". Blaga. Teatr — nic więcej. A gdybym tak wziął na serio zaproszenia aktora, który gra starego Żyda, i krzyknął na głos słowa moje własne, których nie ma w tekście? Pomieszałbym szyki aktorom. Pandemonium w teatrze do rana, bo takie dyskusje się nie kończą. I kto by zapłacił mechanikom over-time?

To jest najważniejszy błąd w sztuce Fabbri'ego. Pirandellizm, teatr w teatrze, kontakt z widownią doprowadzony do absurdu. Pogoń za szczerością i bezpośredniością zabija szczerość i bezpośredniość. Przez rozbicie niewidzialnej ściany, która dzieli scenę od widowni i sztukę od życia, Fabbri nie tylko nie wtopił sztuki w życie, ale osiągnął efekt wprost przeciwny. Z życia zrobił sztukę. I odtąd wszyscy już mówimy tylko to co jest w tekście.

Nie jest to jedyny błąd. Przy pretensjach do intelektualizmu, intelektualnie, sztuka nie wnosi nic. Czy Jezus był winny z punktu widzenia hebrajskiego prawa? Nie wiem, bo ani jeden punkt hebrajskiego prawa nie wszedł pod dyskusję. Materiał dowodowy do procesu? Dobrana gromada kolejno odtwarza momenty z życia Chrystusa: jest Kajfasz i Piłat, jest Piotr i Jakub i Jan, jest Judasz, jest nawet Józef i Maria. Grają jak im serce dyktuje? Z natchnienia Ducha Świętego? Tylko przy takim założeniu odtwarzane sceny mogą mieć wartość materiału dowodowego. Ale to oczywiście znowu tylko blaga. Wszystko jest w tekście.

Tekst jest miejscami bardzo dobry, gdy Józef, początkowo boleśnie zdumiony, odmiennym stanem Oblubienicy, zrozumiał co się stało i powtarza Jej słowa Anioła: „Błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twego"... Gdy Piotr tłumaczy, dlaczego się zaparł Mistrza... Gdy Judasz tłumaczy, jak bezhołowie uczniów usiłował ująć w karby organizacji... W oderwaniu od całości to są przebłyski prawdziwego teatru w najlepszym sensie teatralnego misterium. Ale całość jest zwyrodniałym teatrem, jest rozpaczliwym szukaniem nowego środka ekspresji. Widza fascynuje już tylko poszukiwanie. Ekspresji autor nie znajduje i sztuka nie przekonuje.

Antoni Pośpieszalski

LUDWIK LAWIŃSKI

„Jeśli leki to z apteki
Grabowskiego
Jeśli humor to od
Lawińskiego" —

czytamy w programie jubileuszu scenicznego Ludwika Lawińskiego, który w historycznym roku 1909 rozpoczął pracę teatralną w swym rodzinnym Lwowie. Przytoczony dwuwiersz głosi szczerą prawdę, a ponadto nie budzi wątpliwości co do jego autorstwa i bardzo trafnie charakteryzuje muzę, która — o czym przypomniał Wojciech Wojtecki w mowie jubileuszowej — ucałowała Ludwika Lawińskiego w kolebce. Wiersz „Jeśli leki to z apteki Grabowskiego" brzmi sarmacko i przypomina, formą i treścią, „Uwagi śmierci niechybnej" X. Baki, natomiast dystych, którego część druga brzmi: „Jeśli humor to od Lawińskiego", wprowadza nas w czarodziejską krainę szmoncesu.

Szmonces to bardzo typowa gałąź polskiej twórczości pięknej dwudziestolecia niepodległości. Plenił się w niemal wszystkich rodzajach sztuk wyzwolonych: w poezji, na scenie, w pieśni i piosence, w muzyce, w prozie. Określano szmonces jako „lekką" lub „podkasaną" muzę, ale ten rodzaj sztuki nieodzownie musiał zawierać nie tyle sól attycką co pieprz izraelski. Kabaret polski dwudziestolecia znajdował sę w arendzie pisarzy pochodzenia żydowskiego, co uformowało jego styl i jego treść. Szmonces jednakże wyrastał z tradycji polskiej. I to bardzo starej, bo średniowiecznej, kontynuując rolę staroświeckich żartów i sztuk sowizdrzalskich, żakowskich, babińskich, saskich, ba, szopek i jasełek! W dwudziestym stuleciu przeniósł się na stałe, razem z warstwą inteligencji, do miasta. Była to więc wielkomiejska sztuka rozrywkowa. A że polscy inteligenci i mieszczanie przepadali za pieprzem izraelskim, toteż kabaret pełnymi garściami czerpał formę i tematy z życia, obyczaju i stylu nadwiślańskich Żydów. Polacy uwielbiali żydowskie kawały i nic bardziej ich nie rozśmieszało jak parodiowanie żydowskiej polszczyzny. Lopek Krukowski był jedną z najpopularniejszych postaci Polski niepodległej.

Ludwik Lawiński prześcignąłby zapewne Lopka, gdyż był i jest nadal większym od niego artystą, ale niestety, zezował za nadto w kierunku sztuki poważnej, dramatycznej i pieśniarskiej. Lopek wyspecjalizował się i wydoskonalił w szmoncesie, Lawiński w głębi duszy pogardzał nim, aczkolwiek posiadał klasyczne walory niezbędne do uprawiania tej gałęzi sztuki.

A więc zaczął Lawiński od komedii, potem przerzucił się na operetki, aż dopiero w Warszawie, a raczej w Warszawce, stolicy szmoncesu, zabłysnął pełnią talentu kabaretowego, w „Qui pro Quo", w „Perskim Oku", w „Bandzie", w „Cyruliku Warszawskim".

Różnica między aktorstwem teatralnym a kabaretowym polega głównie na tym, że aktor musi się w swoje role wcielać, podczas gdy aktor kabaretowy pozostaje zawsze sobą, stale gra tylko siebie, choćby się nie wiedzieć jak charakteryzował. Śmieszne w jego roli jest to, że to właśnie Lawiński, a nie odtwarzana przezeń postać. Toteż najczęściej komicy kabaretowi grają siebie samych, role ich pisane są w pierwszej osobie.

Taką potężną indywidualnością kabaretowo-komiczną był przez lat 50 i niechże będzie jeszcze przez drugie tyle Ludwik Lawiński. Król szmoncesu, ale także nadwiślańskiego sentymentu, postać komiczna, ale i wzruszająca, promieniejąca dobrocią i naiwnością, typowo polska, wdzięczna przez to, że bardziej prowincjonalna niż stołeczna, a najbardziej galicyjska. Najbardziej lawiński Lawiński jest nie ten z „Qui pro Quo", ale stary Latajner ze Lwowa.

Na pięćdziesiolecielecie urodzin dla sceny Lawiński dokonał rzeczy niezwykłej: napisał trzyaktową farsę z piosenkami pt. „Mama przyjechała". Gdyby ją oczyścić z oracji autora, sentymentalnych wstawek jubileuszowych, skrócić, skreślić kikanaście starożytnych dowcipów, gdyby autor poradził się przedtem jakiegoś pisarza, już nie mówię Hemara, ale choćby Sądka, byłaby to rzecz niemal dobra.

Pomysł jak dukat, postacie żywe, z wyjątkiem niezgrabnej i niedowcipnej parodii kawiarni i zarządu „Ogniska", humor autentyczny, śmiały i udany „chwyt" sceniczny podwójnych wcieleń tych samych aktorów, grających rolę osób na emigracji i w Kraju. Niestety, dialog zakalcowaty, przydługi, łopatologiczny, wiele zmarnowanych puent i nie wygranych pomysłów, „mama" nużąco jędzowata, dłużyzny i naiwności. O pomstę recenzentów wołające wstawki jubileuszowe. Farsa zyskałaby, gdyby autor nie fatygował świetnej pieśniarki Zofii Terne do niewłaściwej roli, tj. do parodii. Natomiast bardzo à propos i udane okazały się ewolucje taneczne układu Poli Gobińskiej.

Reżyser Leopold Kielanowski dobrze ustawił postacie, ale uchylił się całkowicie od wypolerowania tekstu, co przecież zawsze śmiało czynił, nawet w zastosowaniu do Wyspiańskiego i Słowackiego.

Bukiety, telegramy, mowy etc. rozbiły atmosferę farsy na premierze. A już 80 funtów i 30 dolarów należało stanowczo wręczyć Lawińskiemu poza sceną. W każdym razie Ludwik Lawiński z powodzeniem dowiódł, że nie święci garnki lepią, i że złoto komedii emigracyjnej leży na ulicy.

Aktorzy, jeśli wyłączyć zupełnie nieudaną parodię kawiarni „Ogniska" w typie kabaretowym i to właśnie w wykonaniu jubilata, zagrali bardzo dobrze. Janina Sempolińska była pełnokrwistą „ maman terrible" z Kraju, Roman Ratschka, Stefan Laskowski, Bohdan Kozerski wczuli się doskonale w swe role i grali je swobodnie i z temperamentem. Beata Ostrowska okazała się równie powabną housewifą jak rokenrolującą żonką warszawską, Ina Sobieniewska wystąpiła w bardzo stosownej roli zgrabniutkiej kelnereczki, w rólce wnuczki spisała się śmiała Irenka.

Miła ilustracja muzyczna Kropiwnickiego i ładne dekoracje Smosarskiego. Oprawa sceniczna Feliksa Fabiana, który też jako prezent jubileuszowy wręczył Lawińskiemu portret, zdaje się, Goethego.

J. B.

„ZNAK"

Podwójny numer „Znaku" z lipca i sierpnia br. (61-62) jest numerem monograficznym, poświęconym zagadnieniom chrześcijańskiej estetyki. Należy podkreślić wartość tego rodzaju monografii w czasopiśmiennictwie, gdyż stanowią one jakby chwilę wytchnienia, świadomego oderwania się od nieubłaganego biegu wypadków i niejako publiczną okazję do głębszej refleksji nad wybranym zagadnieniem.

W sztuce jesteśmy dziś trochę zgubieni i zdezorientowani. Artykuły „Znaku", choć zestaw ich wydaje się na pierwszy rzut oka dość przypadkowy, dają czytelnikowi wyraźnie jednoznaczną orientację: wszystkie traktują sztukę jako „działalność" zasadniczo religijną. Z tego punktu widzenia kluczowe znaczenie w numerze mają „Myśli" Simone Weil („Piękno jest eksperymentalnym dowodem, że inkarnacja jest możliwa") i esej T. Mertona: „Poezja i kontemplacja". Na szczególną uwagę zasługuje również artykuł Wł. Tatarkiewicza o „Pierwszych źródłach chrześcijańskiej estetyki". Poza tym numer zawiera prace Golubiewa, Wł. Stróżewskiego, Susanne Langer, E. Gilsona, Jana Ulatowskiego, Marcel Briona, Andre Masson'a i B. Schaeffera.

Jedyny zarzut, który by można postawić redakcji, to chyba to, że cały tenor numeru jest zbyt jednostronnie teoretyczny, intelektualny, ezoteryczny. Palące zagadnienia sztuki religijnej życia codziennego, zdobnictwa kościelnego, dewocjonalii, panowania tandety w tych wszystkich dziedzinach — zostały tu pominięte milczeniem. Ale, być może, jest to już inne zagadnienie, nie czysto estetyczne, ale raczej społeczne.

„WIĘŹ"

Podwójny, 300-stronicowy nr 7/8 „Więzi" (VII-VIII. 59) jest poświęcony 20-ej rocznicy „września"; pomimo pewnej ilości materiału kontrowersyjnego, numer jest ważną i odważną próbą spojrzenia na przyczyny naszej klęski.

Trudno podzielać pewność Andrzeja Wielowiejskiego, („Złudzenia i tragedie polityki Września"), iż pakt z Rosją „mógł nas uchronić od klęski, mógł uratować pokój na długo". Decydują tu przyczyny ideologiczno-społeczne, pomijane przez zwolenników „realizmu politycznego". — Rudolf Buchała streszcza („Niemy — Polska — Gdańsk") historię stosunków polsko-niemieckich. Bohdan Skaradziński analizuje zaskoczenie Polski i Zachodu w r. 1939. Leszek Karpatowicz daje pracę o polskich planach wojennych; tabele ilustrują potencjał ekonomiczny stron.

„Wspomnienia, pamiętniki, dokumenty" — to „wrzesień" oglądany przez żołnierzy („Czy lotnictwo broniło Warszawy?" Adama Kurowskiego, „Z walk Wielkopolskiej Brygady Kawalerii" Romana Abrahama, „Obrona Narwi i Biebrzy w r. 1939" Felicjana Majorkiewicza). Irytuje reportaż Melchiora Wańkowicza „Ostatnia rozmowa z Beckiem i Rydzem-Śmigłym". — Recenzja Bogusława Wiślickiego „Ślepi i kulawi" rozprawia się z „Zielonymi oczami" Cata-Mackiewicza.

Nr 9: Jerzy Wolff: „Co może dać sztuka?" — artykuł ugodowy. Anna Morawska: „Księża" — rozważanie kryzysu we współczesnym duszpasterstwie w krajach katolickich. Luciano Ricon: „Kongregacja świętego zasiłku" — reportaż o o. Llanos, abbé Pierre. Antoni Gołubiew: „Świerk" — fragment powieści „Adam"; przynosi rozczarowanie. Danuta Zawistowska: „Słaby człowiek Tomasza Manna" — solidne studium literackie. Jerzy Zawieyski: „Dziennik z podróży do ZSRR", „najciekawszej podróży w jego życiu"(?). Andrzej Micewski: „Patriotyzm polski" — polemika z Bolesławem Piaseckim. Zbigniew Pędziński: „Szczęśliwi torturowani" — o książce Romana Bratnego, „ubogiej", i „sprytnej". Barbara Eysymontt: o wierszach „buntownika" Andrzeja Bursy. Zbyszko Bednorz: „Dawne drogi ku wysokiej polszczyźnie" — relacja o „Kółku Polskim" w seminarium we Wrocławiu (1895-1906). Maria Garnysz: „Szwajcarska burza" — dyskusje księży ze świeckimi.

NAGRODY Z WENEZUELI

Jury konkursu literackiego ufundowanego dzięki ofiarności Polaków, zamieszkałych w Wenezueli (skład: T. Terlecki, oraz J. Jaksiński, J. Kisielewski, T. Sułkowski i W. Tarnawski) przyznało:

I nagrodę (£ 150) pracy „Ziemia pojona gniewem" — Stefanii Zahorskiej; II nagrodę (£ 100) pracy „Szkice Mickiewiczowskie" Marii Czapskiej; III nagrodę (£ 60) pracy „Wiecznie męskie" Juliusza Sakowskiego.

Wyróżniono: „Pieśń" — Jerzego Niemojowskiego, „Chleb moich braci" — Bolesława Pomiana Piątkowskiego, „Wiersze zebrane" — Mieczysława Lurczyńskiego, „Naokoło świata" — Stefana Legeżyńskiego, „Nieśmiertelne cienie" — J. A. Teslara, „Poezje i wiersze" — Józefa Jenne, „Tamta ziemia" — Andrzeja Chciuka, „Małgosia" — Jadwigi Pomorskiej.

AUGUSTYN GEMELLI, OSF.

Dr Augustyn Gamelli, OSF, zmarły fundator i rektor Katolickiego Uniwersytetu w Mediolanie, również przewodniczący Papieskiej Akademii Nauk, był niegdyś socjalistą. Po nawróceniu wstępuje do franciszkanów braci mniejszych. Był założycielem „Revue de philosophie neoscolastique" i wznowicielem badań tomistycznych we Włoszech. Założył pismo „Archives de psychologie, neurologie et psychiatrie". Stworzył wyższą szkołę dla zakonnic, dom wydawniczy i Centrum Studiów w Dolomitach.

Ważniejsze prace: „Nouvelles méthodes et perspectives de la psychologie expérimentale" (1912); „La Personalité de déliquant dans ses fondements biologiques et psychologiques" (1948); „Le message de St. François au monde moderne".

I UWAGI

LIST JÓZEFA ŻYWINY

Przeczytałem artykuł „O poezji nieczytelnej" w wrześniowym wydaniu ŻYCIA i nie mogę zrozumieć, na jakiej podstawie p. J. B. pod pozorem omawiania „Wilczych ziół" zajmuje się wysuwaniem zastrzeżeń w sprawach mojego światopoglądu katolickiego obok przypisywanych mi — niesłusznie — poetyckich wyrazów formalnych.

Józef Żywina

Pisałem: „Autor... za mało okazuje zainteresowania problematyką katolicką czy chrześcijańskim światopoglądem. Choć deklaruje wiarę w Boga, Bóg to niesłychanie poetycki, Bóg Żywiny..." Nie są to tedy „zastrzeżenia w sprawach światopoglądu", lecz zdziwienie, że tak wybitny **działacz** stronnictwa chrześcijańskiego tak skromny daje wyraz swojemu poglądowi katolickiemu jako **poeta**.

Nie rozumiem, co to znaczy „ poetyckie wyrazy formalne", więc nie mogłem ich — ani niesłusznie ani słusznie — zarzucać.

Mogę zapewnić poetę, że cenię i jego światopogląd i jego osobę, dobrego druha wojennego. A nie cenię tylko nazbyt jego **obecnej** poezji.

J. B.

NAIWNOŚĆ I HISTERIA

Z zainteresowaniem przeczytałem w ŻYCIU, nr 9-10 (sierpień-wrzesień), doskonały artykuł E. Męclewskiego pt. „Polski nie stać na naiwność".

Artykuł jest doskonały jako treściwe podsumowanie oficjalnego (i nieoficjalnego) stanowiska Polski wobec Niemiec. Są jednak w tym artykule pewne niedopowiedzenia. Te niedopowiedzenia występują tym silniej, że autor świadomie podejmuje rozprawę z tymi obcokrajowcami, którzy uważają, że Polacy zbyt „historycznie podchodzą do tego zagadnienia, z oceną rewizjonizmu zachodnioniemieckiego włącznie". Mniej „histeryczna" postawa — zdaniem Męclewskiego — to byłaby właśnie „naiwność".

Dla uniknięcia nieporozumień niech mi wolno będzie stwierdzić od razu, że — tak samo jak p. Męclewski i cała bez wyjątku opinia polska w Kraju i poza Krajem — stoję na stanowisku absolutnej nienaruszalności zachodnich granic Polski. Nie chcę również pomniejszać grozby niebezpieczeństwa niemieckiego **na dłuższą metę.**

A jednak należę do tych, którzy uważają, że postawa Polaków w Kraju wobec dzisiejszych Niemiec jest istotnie nacechowana pewną histerią i że w tej postawie tkwią pewne niebezpieczeństwa, których p. Męclewski zdaje się nie dostrzegać. Przede wszystkim, jakkolwiek zawsze jest możliwe odrodzenie realnej zaborczości niemieckiej, w obecnej sytuacji międzynarodowej zaborcze zapędy, jakim dają wyraz rewizjoniści niemieccy, są nierealne. Dlatego i niebezpieczeństwo niemieckie na krótką metę jest nierealne. Czy się to nam podoba czy nie, istnieją nie tylko Niemcy Adenauera, ale i Niemcy Ulbrichta. Po to, by Adenauer czy jakiś Oberlaender mógł uszczknąć choć trochę z obecnego terytorium Polski, musiałby wpierw połknąć Niemcy wschodnie. A na zjednoczenie Niemiec, jak wiadomo, się nie zanosi. Ponadto zachodnio-niemiecka Bundeswehra jest ściśle związana z NATO i jest całkiem nie do pomyślenia, by Niemcy mogły sobie pozwolić na jakąś zaborczą awanturę bez zgody swych zachodnich aliantów. Jeszcze bardziej nie do pomyślenia jest zgoda zachodnich aliantów na taką awanturę.

Pozostaje niebezpieczeństwo na dłuższą metę. Obecne elementy sytuacji międzynarodowej mogą przejść do historii i naród polski stanie znów oko w oko z nowym hitleryzmem. To jest możliwe i przeciw temu trzeba się mieć na baczności. Ale cały mój zarzut polega na tym, że Polska zbroi się moralnie przeciw niebezpieczeństwu, które w tej chwili jest niebezpieczeństwem teoretycznym, a przeocza znacznie bliższe niebezpieczeństwa faktyczne. Pomijam niebezpieczeństwa, które wynikają z zajęcia postawy zbyt sztywnej w polityce międzynarodowej; zbyt sztywna polityka może kosztować przeoczenie okazji.

Interesują mnie skutki wewnętrzne stałej propagandy anty-rewizjonistycznej w Polsce. P. Męclewski pisze: „Dla nas Polaków, dla Polski problem ten wewnątrz kraju nie istnieje. Nie ma na odzyskanych w r. 1945 terenach ani jednego zagadnienia istotnego, które by w sposób zasadniczy, ujemny, wyróżniało je, wyodrębniało z problematyki i życia reszty kraju".

Tak, niestety, nie jest. Wolno mieć nadzieję, że skandaliczny okólnik Ministerstwa Finansów PRL, który w sprawie własności kościelnej na ziemiach zachodnich nawraca do przedawnionej koncepcji „własności po-niemieckiej", stanowił przejściowe potknięcie władz zbyt gorliwie zaangażowanych w walce z Kościołem. Ale ten okólnik najwyraźniej wyodrębnia ziemie zachodnie od reszty ziem polskich.

Istnieją jednak i inne, trwalsze problemy, które te ziemie wyodrębniają. Wiadomo, że cena ziemi w województwach zachodnich jest znacznie wyższa niż w województwach centralnych. Jest to namacalny dowód, że na tych ziemiach wciąż jeszcze istnieje poczucie niepewności. Wydaje mi się, że to poczucie jest w dużej mierze rezultatem ciągłego straszenia mieszkańców każdą, choćby jak najbardziej nierealną, wypowiedzią niemieckiego rewizjonisty; w każdym razie propaganda anty-rewizjonistyczna znakomicie utrzymaniu tego stanu niepewności pomaga. Podejrzewam, że publicyści reżymowi świadomie wyzyskują ten jedyny punkt swej polityki, w którym istnieje całkowita zgodność poglądów między reżymem a społeczeństwem, do podbudowania swoich „więzów z masami". Tylko że ta „więź z masami" podkopuje polski stan posiadania w województwach zachodnich. Tymczasem ten stan posiadania jest najmocniejszym atutem (nie argumentem, a właśnie atutem — argumentów już nie potrzeba) w ewentualnej obronie polskości tych ziem.

Wnioski ogólne? Po pierwsze: owszem, polemizujmy z fałszami propagandy niemieckiej **na zewnątrz,** ale wykazujmy przy tym przede wszystkim **nierealność** niemieckich pretensji. Po drugie: dajmy spokój z wyolbrzymianiem tej groźby, nade wszystko bezpośredniości tej groźby **na wewnątrz.**

Zygmunt Stasiak

ŻYCIE

KATOLICKI MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ROK XIII Nr 11 (572)

listopad 1959 r.

Wydaje:

Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas", 12 Praed Mews, London, W.2

Telefony: AMBassador 6879; PADdington 9734

Redakcja: Godziny przyjęć codziennie z wyj. sobót, niedziel i świąt g. 3-4 pp. Redakcja rękopisów nie zwraca.

Administracja: Czynna codziennie od 9-12 i 2-5 z wyj. sobót, niedziel i świąt.

Prenumerata (płatna z góry): kwartalnie: szyl. 9/-, dol. 1.50, fr. fr. 620; półrocznie: szyl. 18/-, dol. 3.00, fr. fr. 1240; rocznie: szyl. 36/-, dol. 6.00, fr. fr. 2480. W prenumeracie lotniczej dolicza się koszt przesyłki lotniczej.

Wpłaty: a) w krajach bloku szterlingowego: Postal lub Money Orderami lub czekami bankowymi 'crossed' (//), **b) w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym przekazem jakiegokolwiek banku amerykańskiego, **c) we wszystkich innych krajach:** do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym wprost do Administracji ŻYCIA. Zmiana adresu szyl. 1/-, płatne równocześnie z zawiadomieniem [illegible]

Ceny ogłoszeń: 1 cal × 1 łam £1.5.0, dol. 3.00, fr.fr. 1000. Kolor 100% drożej.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Argentyna: „Libreria Polaca", Serrano 2076, piso I, Buenos Aires. **Australia: „Społem",** 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S.A., **Vistula (Aust.) Pty Ltd.,** Daking House, Rawson Place, Sydney, N. S. W. **Belgia: Mme E. Kulakowska,** 1, Avenue Tedesco, Bruxelles 16. — Pren. kwart. 60 frs. **Brazylia: ks. dr Antoni Łatka,** Praca Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo. **Dania: Ks. O. J. Szymaszek,** Skt. Annae Kirke, Hans Bogbinders Alle 2, Kobenhavn S. **Francja: W. Olszewski,** 39 Avenue de la Republique, Bessancourt (S. et O.) C. C. P. Paris 13512.43. **Holandia: B. Galas,** Fagelstraat 15A, Breda. **Kanada: Vatra Trade,** 273½ Selkirk Ave., Winnipeg 4, Man. **Niemcy: St. Mikiciuk,** Gablonzerstrasse 7/I, (13b) München 45. Pren. kwart. 5.40 MD. **Norwegia: B. Łubiński,** Kongesgat 2, Moss. **Stany Zjednoczone: „Gryf Publication",** 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; **M. Kijowski,** 1176 Woodland Ave., Plainfield, N.J. **„Pomoc" — Eksport-Import,** 761 Filmore Ave., Buffalo 12, N.Y. **Miss Alicja Kowalczyk,** 12135 St. Aubin Hamtramck 12, Mich. **Szwajcaria: Mme B. Gierszewska,** Wallisellenstr. 483, Zurich, konto poczt. Zurich VIII 50734. Pren. kwart. 3.75 fr. **Szwecja: Mgr B. Kurowski,** Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 7.00 krs. **Włochy: Antoni Grzybowski,** via C. T. Odescalchi 31/17, Roma.

CIEŃ RAPALLA

(Dokończenie ze str. 20)

uporczywie do marzeń o „nowych Taurogach" czy „Rapallo". W obecnej sytuacji węszą oni koniunkturę dla zatruwania opinii niemieckiej niebezpiecznymi pomysłami współpracy niemiecko-rosyjskiej.

Polityka ta znajduje poparcie wśród skrajnych grup prawicowo-nacjonalistycznych. Tubą tych środowisk jest między innymi „Deutsche Soldaten-Zeitung". We wrześniowym (15) numerze tego dwutygodnika znajdujemy artykuł antypolski:

„...Postawa Polaków i Czechów — brzmi zakończenie — jest jasna. Ponieważ Rosjanie zabrali im zrabowane na Wschodzie wschodnią Polskę i Ukrainę karpacką, chcieliby u boku Rosjan zatrzymać co najmniej rabunki na Zachodzie... Dyplomatyczne stosunki z Warszawą i Pragą są — ze względu na nasze roszczenia prawne — szkodliwe i całkowicie bezcelowe. Kontakty ze sługami (Dienstboten) Rosjan są nam niepotrzebne. Decydować będzie Rosja i być może, że pewnego dnia, kiedy Niemcy będą silniejsze, poweźmie w sprawach naszych granic wschodnich decyzje wbrew Polakom i Czechom."

Skrajna prawica nie odgrywa żadnej roli w życiu politycznym NRF. Ale nie można tego powiedzieć o uchodźcach. Ich wpływ rośnie; partie liczą się z nastrojami wśród wyborców uchodźczych.

Koncepcja porozumienia niemiecko-rosyjskiego byłaby orientacja abstrakcyjną, niem...lna, gdyby nie k...yzys, w jakim się znajduje, w...dnie do którego się zbliża oficjalna polityka zagraniczna NRF.

Pewnym kołom, i to nie tylko skrajnie prawicowym lub uchodźczym, perspektywa poświęcenia interesów niemieckich przez Zachód jest na rękę. Rozczarowanie opinii niemieckiej stworzyłoby atmosferę sprzyjającą propagowaniu innej „orientacji", która na razie napotyka na bierny opór mas niemieckich kierujących się zdrowym instynktem samozachowawczym. Zmiany, jakie prędzej czy później będą musiały nastąpić na kierowniczych pozycjach rządu w Bonn, i zamęt z tym związany — ułatwić mogą zadanie niepoczytalnym mącicielom. Rosja przypatrując się nie będzie — rzecz prosta — zachowywać się biernie. Pozornie ponętnymi ofertami działać będzie w kierunku podsycania i dyskontowania narastających na tle propagandy rewizjonistycznej nastrojów nacjonalistycznych. Pewnego dnia „orientacja wschodnia" — dziś jeszcze uważana za samobójstwo polityczne — wydać się może korzystnym rozwiązaniem. Gdy „balony próbne" natrafią na życzliwą reakcję Sowietów, powstać może znaczniejszy blok zwolenników „czerwonych Taurogów"...

Trudne i odpowiedzialne zadanie staje w tych warunkach przed polityką Ameryki i Zachodu. Unikać należy odstręczania NRF od orientacji zachodniej, ale nie wolno akcentować postulatów, którymi uchodźcy próbują szantażować rząd w Bonn. Wybrnięcie z tego dylematu nie będzie rzeczą łatwą. Współzawodnictwo Wschodu i Zachodu o pozyskanie Niemiec, zapoczątkowane bezpośrednio po zakończeniu działań wojennych, wchodzi w fazę krytyczną. Chodzi tu o przyszłość nie tylko Niemiec, ale i środkowo-wschodniej Europy, a tym samym całego kontynentu. Niebezpieczeństwo będzie narastało tak długo, póki Niemcy nie zrozumieją, że losy ich są związane z losami środkowo-wschodniej Europy. U... nienie przez Niemcy żywotnych ... sów narodów naszego regionu ubezpie... Europę od nowych wstrząsów.

St. Czechanowski

BOŻE NARODZENIE CHORYCH

GWIAZDKA DLA CHORYCH! W obcym szpitalu, samotni, bez rodziny i bliskich mają prawo oczekiwać pamięci rodaków. **PACZKA GWIAZDKOWA** będzie dowodem, że solidarność społeczna istnieje.

Komisja Koordynacji Opieki Społecznej przy Zjednoczeniu Polskim w Wielkiej Brytanii organizuje dorocznym zwyczajem **AKCJĘ PACZEK GWIAZDKOWYCH dla CHORYCH**, przebywających w czasie świąt **BOŻEGO NARODZENIA** 1959 w szpitalach brytyjskich.

W czasie **od 15 listopada do 15 grudnia** Komisja organizuje **ZBIÓRKĘ**, ustaloną w kalendarzu zbiórek Zjednoczenia Polskiego.

OFIARY przekazywać można czekiem wystawionym na WELFARE COORDINATION COMMITTEE lub przekazem pocztowym albo w gotówce, na adres: **WELFARE COORDINATION COMMITTEE, 55 Princes Gate, London, S.W.7.**

Niech obcy się przekonają, że o Polakach chorych Polacy zdrowi pamiętają.

Przewodniczącym Komisji jest **mgr J. Narożański**, wiceprzewodniczącym — **ks. kan. N. Turulski**, sekretarzem — **p. A. Januszajtis.**

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734.